# ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 17/96 — Londyn, dnia 24 kwietnia 1949 — CENA 9 d.


**W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH ŻYCIA**
**ukażą się m. in. artykuły, szkice, opowiadania następujących autorów:**

*A. Bobkowski* — Z dziennika podróży: Rozstanie
*M. Dłuski* — Św. Henryk i rzymskie cesarstwo
*W. Folkierski* — Poprzez Piękno do Prawdy: Juliusz Słowacki
*B. Obertyńska* — Storożka
*M. Pawlikowski* — Wyrzykowski
*T. Skórzewska* — Teatr w obozie
*X. W. Staniszewski* — „Żyłem z wami — cierpiałem z wami"
*R. Stawarski* — Jezuici
*C. Wodziński* — Ze starego teatru
*F. Zawadzki* — Antoni i Bazyli

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

# LINIA UPODLENIA

NIEJEDEN pisarz na emigracji, zmuszony do zarobkowania nie w swoim fachu, do porzucenia czy ograniczenia pracy umysłowej, zadawał sobie w chwilach zmęczenia pytanie: czy warto? Poco? A jeśli to na długie lata? Tyle szarpaniny poto tylko, żeby przeżyć? **Tam** nie mógłbym pisać wszystkiego co myślę, ale to co bym napisał, czytałyby tysiące i tysiące...

Tym wątpliwościom z chwili zmęczenia mogę dać odpowiedź. Nie swoją: przemówią do nich koledzy z kraju, przemówią dziwnym, nieswoim głosem.

Dla każdego, kto ma jakiekolwiek pojęcie o Sowietach, jest rzeczą zrozumiałą i jasną, że skoro władza przeszła tam z rządu cywilnego na gabinet wojenny, a cały przemysł gotuje się do trzeciej wojny światowej, to hasłem propagandy na cały świat staje się „walka o pokój". Trzy kongresy w obronie pokoju w jednym roku: w Europie wschodniej, w Ameryce i w Europie zachodniej, a tylko patrzeć czwartego w Azji. Totalna mobilizacja komunistów i ich niewolników do walki... o pokój. Ta mobilizacja do „wojny wojnie" (ulubiony stary slogan bolszewików) ma między innymi przeprowadzić jasny podział w krajach okupowanych i stać się hasłem zniszczenia dla tych, którzy w akcji propagandowej nie wezmą udziału.

W Polsce tym „kimś", który ma być pierwszy zniszczony jako wróg pokoju, jest kler katolicki. I oto każdy pisarz katolicki w kraju staje wobec szantażu: albo jesteś wrogiem pokoju, albo walcz z hierarchią kościelną.

Słowo szantaż pochodzi od francuskiego chanter — śpiewać, oznacza zmuszenie kogoś do śpiewania tak jak mu każą. Stąd szantażysta nazywa się po francusku maître chanteur — mistrz śpiewu. Mistrza śpiewu nie słyszymy, ale dochodzą nas z Kraju fałszywe tony śpiewu szantażowanych. Te właśnie głosy o których była mowa na początku.

Głos pierwszy: Wojciech Żukrowski. Debiutował w poznańskiej katolickiej „Kulturze". W czasie okupacji niemieckiej napisał a w początkach okupacji sowieckiej wydał tom świetnych nowel z ducha katolickich, pełnych siły i rozpędu, heroicznych, młodych. W ciągu następnych czterech lat pisał coraz dziwaczniej, coraz słabiej; pokazywał się na komunistycznych imprezach, ale wciąż jako przedstawiciel katolickiej opozycji. Teraz w ofensywie pokojowej zabrał głos na łamach komunistycznego „Odrodzenia", redagowanego przez „Borejszę" i nieswoim głosem śpiewa:

„Jakże bardzo chcielibyśmy, żeby w obronie pokoju, obok nas — tłumów wierzących — stanęli wszyscy nasi duszpasterze... Chcemy by nam dopomogli. Są przecież i tacy, którzy widzą naszą rozterkę i milczą... Milczenie to już dawno przestało być ostrożnością i rozwagą, ma dla nas swoją niedwuznaczną wymowę. Czyż pokój, którego tak wszyscy pragniemy, jeśli jest organizowany przez lewicę — przestanie być pokojem?"

„Spoza wielu kunktatorskich wystąpień oratorów duchownych wyczuwamy dwa przeciwstawne nurty, oddolny patriotyczny, propolski, który nam dał bojowników i bohaterów, mordowanych po niemieckich obozach i drugi odgórny, kosmopolityczny, dla którego naród polski, jego granice są sprawą błahą, wobec „wielkiej gospodarki duszami", gdzie wyraźnie my najwierniejsi, właśnie za swoją wierność jesteśmy na ostatnim planie".

Tam, gdzie milknie zlekka schrypnięty głos Żukrowskiego, odzywa się fałszywym dyszkantem drugi głos: Jan Dobraczyński. Autor firmowo katolicki, jeden z najbardziej zajmujących się doktryną katolicką literatów, od roku 1945 w grupie tzw. katolików społecznych B. Piaseckiego, czyli re-żymskich katolików (dowcip krajowy nie mój). W ostatnich latach powoli ale stale ześlizguje się na „wschód". W dzienniku swej grupy, „Słowo Powszechne" zamieszcza wielkopostny artykuł „Milczenie Jezusa". Faryzeusze, wywodzi tam, byli obozem reformy, saduceusze obozem kleru. Chrystus potępiał faryzeuszy, uderzał w nich, bo chciał obudzić najlepszych spośród nich. O saduceuszach milczał, bo nie zasługiwali na nic innego, jako czciciele bezdusznej formy. Ci saduceusze, wyjaśnia niedwuznacznie Dobraczyński, to byli ówcześni biskupi.

Ponad tę dwa głsy brutalnym wrzaskiem wbija się trzeci: Jerzy Waldorff.

Jerzy Preiss von Waldorff, przed wojną urzeczony powodzeniami faszyzmu, w pierwszych latach okupacji czerwonej drukował swoje artykuły w organie kurii metropolitalnej krakowskiej „Tygodniku Powszechnym". Teraz drukuje je w krakowskim „Przekroju", którego jest współredaktorem, i oto co drukuje:

„Nikt nie przeszkadza nikomu w Polsce być katolikiem. Oświadczenia rządu w tym względzie są zresztą zupełnie jasne. Tym niemniej rząd nie może przyjąć do obojętnej wiadomości ponad 60 morderstw i około 150 napadów z bronią w ręku, tylko dlatego, że aktom tym patronował kler. Procesy owe nie są również przejawem walki z Kościołem, gdyż nie można reakcyjnej części duchowieństwa katolickiego, a nawet złego papieża-polityka, który popiera pretensje rewizjonistów niemieckich do naszego Zachodu — utożsamiać z wartością i nauką Kościoła Katolickiego".

„Za funty i dolary zostały dostarczone karabiny i ryngrafy, które poświęcił ks. Fertak".

„Lecz księża Fertacy mają nad sobą przełożonych, którzy winniby ich pouczać, a milczą. Gdyby ukazały się były w swoim czasie listy pasterskie, potępiające szczerze i ostro działalność reakcyjnego odłamu kleru, to zapewne procesy w Warszawie i Łodzi, gdyby zaszły, odbyłyby się bez udziału księży".

„Reakcyjna góra kleru może uważać, że nasz ustrój obecny jej nie odpowiada. To jej rzecz. Ale nie może pomijać milczeniem przestępczej działalności księży osądzonych w Łodzi i w Warszawie, jeśli pragnie — tak jak całe społeczeństwo — żeby te procesy były ostatnimi".

To już nie insynuacja, to groźba.

Te trzy zaprezentowane głosy, nie jedyne i nie ostatnie, wyznaczają linię upodlenia.

Zaczyna się owo canto infernale tak piano jak u Żukrowskiego: „Czujemy się trochę bezradni... Dla wielu z nas, właśnie katolików, już nie argumenty ale autorytety decydują... Dostrzegamy niebezpieczeństwa „stawiania" na amerykańską koncepcję świata... Są jeszcze między nami tacy, którzy lękając się komunizmu — wybierają wojnę... Jestem katolikiem... mówię w swoim imieniu i wielu wierzących, którzy z niepokojem wyczekują autorytatywnej wypowiedzi...", kończy się jak u Waldorffa: „Reakcyjna część duchowieństwa... Zły papież-polityk... funty i dolary... tradycje polskiego kleru katolickiego nie w całości dobre... namawianie wiernych do pospolitych przestępstw... Reakcyjna góra kleru"

Teraz już wiecie, koledzy, dlaczego lepiej myć statki w Londynie niż uprawiać porządnie płatną „czystą literaturę" w Warszawie. I dlaczego marzeniem uczciwego pisarza w Polsce bywa: móc myć statki i nie pisać.

**Wojciech Wasiutyński**

# NOTATNIK

### MICKIEWICZ „SOCJALISTA"

Są dzieła Mickiewicza w strzępach, fragmentach, lub projektach, mało nam dostępne, często niemal nieznane. Głównie chodzi tu o rzeczy, pisane po francusku. Kiedyś miałem w ręku tom takich pism, wydanych w Paryżu bodajże w 1855 roku. Znajdował się w jednej ze szwajcarskich bibliotek uniwersyteckich.

Rzecz, o którą mi chodzi, to fragment i schemat powieści o — przyszłości świata, jeśli wszystko tak dalej się potoczy ,jak to przezierał, jako konsekwencję orli wzrok Mickiewicza, chociaż za jego czasów ludzkość karmiła się hasłami liberalizmu. Nie jest to naiwna apoteza, lecz smagająca wizja, fantastyczna à la Wells, satyryczna i groźna jak u Bensona.

Z tego szkicu powieści utkwił mi zwłaszcza jeden szczegół w pamięci: ludzie nie mają już imion ani nazwisk. Są oznaczeni liczbami, jak narzędzie pracy, jak roboty, pracy bezdusznej, nie wiadomo w imię czego i dla kogo. Osobowość, wartość jednostki, prawo ludzkie, prawa duszy, wszystko to zniknęło zdeptane. Jest tylko szary mus i rodząco-zjadająca maszyna...

Ten fragment Mickiewicza godzien jest zająć należne sobie miejsce w jakiejś bibliotece fantastycznych „Utopij" (istnieje taka we Włoszech) nie jako mrzonka o „naturalnym postępie" uszczęśliwiającym ludzkość, lecz jako przestroga.

Wobec tego przejmującego fragmentu, wobec tej wizji państwa socjalistycznego — jak wygląda chęć zaszeregowania Mickiewicza do socjalizmu po tej i po tamtej stronie kurtyny? Mickiewicz miał zbyt wielkie — i zbyt polskie! zrozumienie spraw społecznych, aby nie widzieć, ku czemu zmierza iszczenie k o n i e c z n y c h przemian pod znakiem gremialnej niewoli.

B. K.

### BŁOGOSŁAWIENI CISI...

Połowa świata żyje w warunkach bliskich nędzy. Przyznaje to w swym ostatnim orędziu do Kongresu prezydent Truman. Ponuro wygląda ten bilans kapitalizmu sprzęgniętego ze złotem i maszynizmem; będzie on kiedyś świadectwem wartości cywilizacji w połowie XX wieku. Dla dodania ducha światu w walce z komunizmem i szukając rynków dla wzrastającej wciąż produkcji Stanów Zjednoczonych, prezydent Truman rzucił myśl przyjścia z pomocą zacofanym gospodarczo krajom. Projekt jest tak sformułowanym, iż może również dobrze wiele znaczyć, jak i nic nie oznaczać.

Wtedy, kiedy do dyspozycji odległych ludów Truman chciałby oddać całą amerykańską wiedzę techniczną, Profesor Arnold J. Toynbee w zupełnym oderwaniu od zagadnień gospodarczych w swych filozoficznych rozważaniach nad historią dochodzi do wniosku, iż właśnie z tych zacofanych terytoriów może jedynie przyjść dla świata i jego cywilizacji, zbawienie. Z tego wynika, iż należałoby je raczej pozostawić w stanię zacofania i biedy, bo siła moralna ludów, je zamieszkujących lepiej hartować się będzie w cierpieniu.

Po wystudiowaniu historii dwudziestu i jednej cywilizacji prof. Toynbee rozgląda się, skąd przyjść by mogło odrodzenie wartości tkwiących w nauce chrześcijańskiej?

W marcowym zeszycie „World Review" zwraca on uwagę w udzielonym wywiadzie na te siły wielkie i nie rozładowane jeszcze, które tkwią w ludach, dla których sens chrystianizmu stał się dostępnym dopiero niedawno. „Może, woła w zwątpieniu, Murzyn amerykański, mieszkańcy DP-sowskich obozów lub upośledzone narody Afryki czy Azji będą naszymi wybawicielami".

Nie nastąpi to chyba wcześniej nim ze starcia obu materializmów marksistowskiego i kapitalistycznego pozostaną gruzy w sensie zwycięstwa ducha nad materią. Dopiero wtedy stworzone będą warunki dla moralnego odrodzenia tych uprzywilejowanych narodów, nad których upadkiem biada dzisiaj słusznie prof. Toynbee.

J. Z.

### „POSUNĄŁ SIĘ ZNACZNIE NAPRZÓD"

Nie czytałem książki prof. Zygmunta Wojciechowskiego „Polska — Niemcy. Dziesięć wieków zmagania", dlatego też jest to recenzja rezenzji niezmiernie charakterystycznej.

W miesięczniku „Woprosy Historii", (N 1 — 1949) niejaki p. Misko klepie pofale prof. Wojciechowskiego pisząc: „Posunął się znacznie naprzód". By osłabić jednak komplement, recenzent sowiecki dodaje z pewnym politowaniem, „ale daleko mu jeszcze do wyzwolenia się z pęt starej, burżuazyjnej metodologii."

Znajdujemy jeszcze jedną pochwałę, ale też opatrzona jest ona zastrzeżeniem: „nie wystarczy uznać całego znaczenia w dzisiejszych czasach polsko-sowieckiej przyjaźni". Prof. Wojciechowski nie łudził się zapewne że to wystarczy. Historyk powinien wiedzieć że przyjaźń sowiecką się zdobywa przejściem „na grunt materializmu dziejowego". A jakże prof. Wojciechowski jest od tego daleki! Czyż można analizę polityki polskiej przeprowadzić bez związania jej z przemianami socjalno-ekonomicznymi, zauważa tow. Misko. Przecież niezrozumienie tego nadaje polityce tej piętno „bezklasowości".

Staje się ona przez to wcieleniem tego „ducha narodowego", którego rzecznikami są „królowie i książęta". Ekspansja polska na ziemie ukraińskie i białoruskie w takim oświetleniu „to dzieło królów a nie magnatów i szlachty, szczególnie małopolskiej".

Również nie jest prawdą by walka Polaków z Niemcami miała jedynie podkład rasowy wtedy kiedy wynikała ona z przesłanek o charakterze społecznym i gospodarczym. Dlaczego prof. Wojciechowski uważa, iż w XVI i XVII wieku Polska musiała się naprzód uporać ze sprawą moskiewską, wołoską i tatarską, by potem odwojowywać ziemie północno zachodnie zapytuje recenzent? Wydaje mu się oczywiście, iż właśnie należałoby postąpić odwrotnie.

Ze zwalenia na Prusy głównej odpowiedzialności za rozbiory Polski tow. Misko jest bardzo zadowolony. Wysuwa natomiast zarzut, iż prof. Wojciechowski prześlizgnął się nad okresem 1918-1939, w którym „antynarodowa polityka burżuazji i ziemian" doprowadziła kraj do katastrofy wrześniowej i dochodzi do wniosku, iż „milczenie w takim wypadku równa się wybielaniu winowajców". ...

Sprawie stosunków polsko-niemieckich w okresie 1918-1939 „poświęcono w książce 13 stron na 267, tyle ile Mieszkowi I. Oburza recenzenta, iż autor przytoczył tyle nazwisk ze ślubów książęcych i królewskich „a zapomniał, o takich grabarzach Polski jak Rydz-Śmigły i Beck".

Dochodzimy wreszcie do zarzutu największego kalibru. „A słona ty nie primietił"? powiada przysłowie rosyjskie mając na myśli tych, którzy się zagapili. Prof. Wojciechowski nie zauważył słonia: „Polska w 1918 roku powstała tylko dlatego, że Wielka Październikowa Rewolucja zerwała łacuchy, którymi była skuta". „U progu nowego tysiąclecia Polska znowu zaciągnęła wartę na Odrze". Tymi słowy prof. Wojciechowski kończy swą książkę. Jest to tymczasem i teza Moskwy.

J. Z.

### „TRAGICZNIE" ZADOWOLENI

Pismo sowieckie „Prawda" ogłosiło wrażenia Maksyma Gorkiego z podróży, którą odbył do Stanów Zjednoczonych w 1906 roku. Mieszkańcy Nowego Jorku wydali się Gorkiemu skamieniali. W ich spojrzeniu pisarz dostrzegł żałosną zarozumiałość i poczucie niezależności. Były to istoty które „zdaniem jego nie rozumiały, że jest to niezależność siekiery w rę-

Dokończenie na str. 3

WOJCIECH PAŁENICA

# GROBY, REZUREKCJA, WSCHÓD I ZACHÓD

BARDZO udała jest dyskusja w ŻYCIU na temat „Wschód — Zachód“. Oto parę obserwacyj, dorzuconych do pasjonującego tematu, obserwacyj, których punktem wyjścia jest okres Wielkanocy.

Rezurekcja i Groby. Zdejmuje kapłan uroczyście monstrancję znad Grobu, obnaża ją z białego welonu, który okrywa Hostię i następuje coś w rodzaju solennego nieszporu. A potem procesja — krzyż, figura Zmarłego Zbawiciela z chorągiewką (krzyż w stule!), wreszcie kapłan z Najś. Sakramentem. Wszystko to wieczorem, o dobrym zmierzchu, jeśli już nie w nocy, lub raniutko w niedzielę, przed świtaniem.

Myślałeś, że to nabożeństwo kościelne w całym świecie katolickim. Jeśliś podróżował, a losy zmusiły cię do tego, byłeś nawet w Rzymie! — wiesz teraz, że nabożeństwo to nigdzie nie jest znane. Nigdzie! Nie znajdziesz go i w formularzach kościelnych. Chyba, że drukowane są dla Polski, to jest dla wszystkich ziem dawnej Rzeczpospolitej. Jest to bowiem dodatkowe ludowe nabożeństwo polskie, niewłączone w liturgię ogólną. Podobnie jak i „Groby“ z rzeźbionym lub malowanym Chrystusem, spoczywającym w kwiatach, na tle dokoracyjnym, a szczególnie ta monstrancja w białym welonie. Co by to był za Wielki Tydzień w Polsce bez Grobów. A wszak nie widziałeś ich gdzieindziej. Nawet zabronione przez władze kościelne! Co najwyżej krucyfiks na posadzce kościoła, wsparty o poduszkę. To bowiem jest przepisowe na Wielki Piątek.

A skąd te zwyczaje, które corocznie ściągają tłumy wiernych do polskich kościołów? Z imaginacji? Z dawnych a zapomnianych zwyczajów, festiwali kościelno-ludowych, czy też z gorliwości słowiańskiego sentymentu i plastyczności wyobraźni?

Trudno dać tu odpowiedź dokładnie udokumentowaną historycznie. Pewne szczegóły są mi znane. Wpierw jednak pytanie: Czy byłeś kiedy, Czytelniku, u św. Jura we Lwowie na nabożeństwach wielkopostnych? Lub może u św. Norberta w Krakowie, gdy tam odprawiały się jeszcze t.zw. nabożeństwa grekokatolickie? Jeśli tak, zauważyłeś p ł o s z c z e n i c ę, to jest wielką, wzorzyście haftowaną sztukę materii (czasem aksamitu), bogato zdobioną frędzlami itp. — z wymalowanym w pośrodku Chrystusem w grobie. Kładzie się ją przed ołtarz na tetrapodzie (jakby dodatkowym ołtarzyku), a pod koniec Wielkiej Soboty uroczyście obnosi w procesji w kościele i poza kościołem, a wreszcie składa się ją na ołtarzu. Podobieństwo uderzające! Otóż polska Rezurekcja ma podobieństwo z płoszczenicą i częściowo także polskie Groby. Przenikanie obyczajów przy podobieństwie nastrojów i jedności wiary. Jak z Polski szły niektóre na rzeczy wschód, tak do rdzennej Polski szły obyczaje i zza Sanu. A „ruska“płoszczenica wraz z całym nabożeństwem, w transpozycji słowiańskiej (nie tylko słownej ale i rzeczowej) przyszła z Bizancjum od katolików starego wschodnio-rzymskiego (inaczej: greckiego) obrządku. I co tu mówić, że Polska nie ma być syntezą Wschodu i Zachodu i że z Bizancjum nic nie przyszło.

— A Matka Boska Częstochowska skąd jest?

Jeśli polski Pan Jezus Frasobliwy zawędrował aż do cerkwi na Sołówkach, to i ze Wschodu wiele do nas przyszło. A z Atosu? A skądże podanie o Barlaamie i Jozefacie jak nie od mnichów greckich?

O cudownej opowieści Barlaama i Jozafata przybyłej ze Wschodu do Europy, a w której rozpowszechnieniu tekst starosłowiański odegrał tak wielką rolę istnieje w literaturze polskiej znaczne swą objętością studium wraz ze staropolskim tekstem. Jest jasne, że w tym popularnym przez całe wieki Barlaamie jest bardzo wiele z umysłowości mnichów wschodnich z tych środowisk, z których powstał potem wczesny Atos. — Czyż jeden z monasterów Atosu nie od niego wziął swe imię? Nie rozstrzygam, pytam jedynie.

Jezus Frasobliwy w cerkwi na Sołówkach. — Nie sądzę, aby to był łup wojenny, zawleczony pobożnym traktem aż tak daleko. Za wielka to bowiem, materialnie biorąc, figura. A pozatem to właśnie, że to posąg, rzecz arcyrzadka w zdobnictwie cerkiewnym na północnym wschodzie, choć całkowicie nie wykluczona. Wpływ, wymiana, zejście się w pewien punkt styczny. Byłoby nawet dziwne, gdyby tak rzeczy się nie miały.

Kiedy już mowa o kulcie i formach pobożności:

Znamy wszak wszyscy suplikacje „Święty Boże“. Tyle razy słyszane: Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami! — Otóż, pytam się: Wschód czy Zachód? Czy słyszał suplikacje który z Polaków w jakimkolwiek kościele Francji, Włoch, Anglii, Belgii lub Holandii? Ja nie słyszałem nigdy dotąd i napewno nie usłyszę. Znowu to polska osobliwość, wprost z greckiego tekstu przepisana choć drogą na Rzym. Ale całe wybrzmienie suplikacyj, styl, postawa ludu — jest tak bardzo, bardzo wschodnia.

Zapożyczenie. Podobne, analogiczne, więc jedno z drugiego? I od razu przydział jak w kartotece policyjnej? Nie. Niezupełnie tak. Znów niewidzialna wymiana, affidavit duchowe na pewne składniki powinowactwa: wybór. Ani „Wschód“ ani „Zachód“, a jednocześnie Wschód i Zachód: Syntetyzująca Polska katolicka. Zdolna syntetyzować, oczywiście nie w rodzaju „chemii planowej“, ale w żywy twór.

Pewien zakonnik francuski opowiadał mi kiedyś o swym odczuciu i wrażeniu, gdy usłyszał suplikacje, będąc we Lwowie w jednym z kościołów. Idąc ze Mszą musiał przechodzić ponad głowy i karki pokotem niemal leżącego tłumu, który zanosił się w śpiewie.—„Przeszły mnie dreszcze i ciarki na ten śpiew, który rwał mną aż do odczucia choroby Nie chciałbym tego słuchać nigdy więcej! Kiedyś, w Hiszpanii słuchałem czegoś podobnego“.

W Hiszpanii... A Hiszpania? Całkowicie Wschód czy Zachód? Filozofowie historii i historycy przyrównywali jej charakter rozwojowy i temperament narodowy do Rosji. Inni czują w niej już Afrykę. Wiadomo, że jeśli na Hiszpanię składał się Rzym, to i składała się również Kartagina, jeśli „nordyccy“ Wizygoci, to i Berberzy i Arabowie. A substratum łączące i przetwarzające żywy klimat duchowy to te tajemnicze rasy: keltycka, tyle nieraz słowiańskości mająca i baskijska. A Afryka, Afryka północna? Ta imperialna rzymska Afryka, obecnie w znacznej mierze część francuskiego imperium: Marokko, Algeria, Tunezja itp. — Wschód to czy Zachód? Czy też coś całkiem odrębnego?

Odpowiecie: zależnie od czasu historycznego. Może za Kartaginy to po części Wschód, za czasów Romy to po części Zachód. Czasu Arabów, to po części Wschód — taki z obrazka. A obecnie?

W Starożytności nawet Egiptu nie nazywano Wschodem, a z pewnością afrykański św. Augustyn jest uważany za duchowego ojca Zachodu, choć z taką stanowczością wystąpił przeciw specyficznie, istotnie zachodniej herezji Pelagiusza. Polegała ona, z grubsza biorąc, na twierdzeniu, że i bez Boga człowiek może dać sobie radę ze zbawieniem („Kościół ziemskich nadziei“...). Jeśli zaś chodzi o Egipt najdawniejszy, był on niewątpliwie Zachodem w stosunku do cywilizacyj wschodnich irackich, aż przyszła bardziej północna cywilizacja kreteńska. Znacznie później znów egipska Aleksandria była Paryżem starożytności z czasów Imperium rzymskiego.

Dotykam tych rzeczy, aby zadeklarować twierdzenie, że „Wschód“ i „Zachód“ nie tylko geograficznie ale i cywilizacyjnie, duchowo, ludzko, są to nazwy i pojęcia bardzo względne, najrozmaiciej układające się jako pewne zgrupowania w historii zarówno treściowo jak i lokalnie. Ta płynność układów występuje i w innych dziedzinach.

Człowiek jednak potrzebuje upraszczających rozróżnień, nasuwa je życie, ustala jakby intuicja. Ale te rozróżnienia nie mogą się obyć bez pewnych stałych wymierników porównawczych — lecz gdzież ich należy szukać? Prof. Kochanowski mówił w swych rozważaniach historycznych coś o demoniczności północy, która z mrozu i cieni pędzi ku słoń-

**Dokończenie na str. 3**

KS. AUGUSTYN JAKUBISIAK

# „DAJ MI ROZUM”

*Intellectum da mihi, et vivam*
*(Daj mi rozum, a żyć będę).*
*(Ps. CVIII, 144).*

SŁOWA te zwraca Psalmista do Boga w formie modlitwy. Modlitwa taka zdziwi niejednege. Czyż można aż tak wielką rolę przy pisywać rozumowi, by uważać go za warunek niezbędny do życia: *Daj mi rozum, a żyć będę?*

Ażeby modlitwę tę zrozumieć, należy zastanowić się nad znaczeniem słów, jakie zawiera. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, co oznaczają te słowa: rozum, zarówno jak życie. Zastanówmy sie zatem nad pierwszym z tych wyrazów i postarajmy sie przede wszystkim wyeliminować niektóre fałszywe jego interpretacje.

Rozum nie jest władzą wynikająca z samego faktu przynależności do tak zwanej u nas „inteligencji”, czyli klasy oświeconej społeczeństwa. Rozum nie może być uważany za przywilej przysługujący pewnej grupie ludzi; jest on, przeciwnie, darem poszczególnych jednostek, darem wyłącznie osobistym, darem nie przywiązanym ani do urodzenia, ani do pieniędzy, ani do jakiegokolwiek szczebla hierarchii socjalnej.

Rozum, skądinąd, nie polega bynajmniej na choćby największej ilości zdobytej wiedzy. Są ludzie, którzy posiadają wiadomości rozległe, którzy odznaczają sie olbrzymią erudycją, władają różnymi językami, posiadają dyplomy uniwersyteckie i tytuły naukowe, a którzy pomimo to pozbawieni są rozumu.

Czym więc jest rozum? Jest on tą nieocenioną władzą ducha, która służy nam do dotarcia i do zgłębienia istoty rzeczy. Aby jednak dobrze wyjaśnić sobie znaczenie tego słowa, zastanówmy się nad jego etymologią. Łaciński odpowiednik słowa rozum, czyli *intellectus*, pochodzi od czasownika *intelligere*, czyli *intus legere*: czytać wewnątrz. Rozum daje nam więc możność odczytania tych wszystkich cech, które nie są ujawnione, ale głęboko ukryte i utajone w rzeczach. Brane zewnętrznie, rzeczy oraz wypadki są dla nas niejasne, sensu ich bowiem i wartości nie dostrzegamy, gdyż ich nie *rozumiemy*, tak jak nie rozumiemy treści książki, pisanej w obcym, nieznanym nam jezyku. Rozum jest tą władzą ducha, która odsłania nam istotne cechy wszystkiego, co dzieje się dookoła nas i w nas samych.

Jak widzimy z powyższych rozważań, dar rozumu jest darem niezmiernie cennym i niezbędnym dla każdego człowieka. Zanim jednak przystąpimy do rozpatrzenia związku, jaki zachodzi miedzy rozumem a życiem, zastanówmy się z kolei nad znaczeniem życia ludzkiego.

Porównać je można ze znanym nam obrazem drogi, a raczej krętaj ścieżki, – ścieżki wyrażającej wszystkie możliwości, jakie człowiek realizuje w ciągu swego istnienia na ziemi. Wiele możliwości staje przed nami w każdej chwili i narzuca się wyborowi naszej woli. Spośród wszystkich tych możliwości wybrać możemy naraz jedną tylko, każdy zaś wybór stanowi nowy etap na drodze naszego życia, zbliża nas do kresu tej drogi, a jednocześnie zmniejsza liczbę możliwości, jakimi jeszcze rozporządzamy. Możnaby sądzić i tak sądzi *de facto* wielu ludzi, że wszystkie możliwości naszego życia posiadają jednakową wartość dla nas, że obojętne jest, którą z nich wybierzemy, że wszystkie one doprowadzą nas do kresu wędrówki naszej i do szczęścia, którego wszyscy pragniemy. Tak jednak nie jest. Możliwości nasze nie posiadają wszystkie jednakowej wartości i wagi. Jedne z nich zbliżają nas do celu naszego życia, inne oddalają, jedne są dobre, inne złe. Ponieważ zaś liczba dobrych czynów, jakie każdemu z nas dane jest wykonać, nie jest nieskończona ani nieograniczona, możemy więc stąd wnosić, jak ważna jest każda chwila naszego życia, jak świątłym, jak mądrym, jak rozumnym powinien być wybór owych możliwości, dokonywany przez nas nieustannie.

Powyższe wywody tłumaczą nam, dlaczego Psalmista daje pierwszeństwo rozumowi przed życiem. Rozum bowiem jeden oświecić może drogę naszego życia, w całości i w każdym najdrobniejszym jej szczególe. On to pokazuje nam wartość możliwości, jakie staja przed nami, oczekując naszego wyboru. On pozwala nam odróżnić wśród licznych dróg, jakie się przed nami otwierają, tę jedyną, którą powinniśmy postępować, nie dlatego, że jest nam narzucona przez okoliczności zewnętrzne, ale dlatego, że zgodna jest z istotnymi potrzebami naszego jestestwa, dlatego, że ułatwia nam zrealizowanie najlepszych możliwości, jakie sie w nas znajdują. Rozum to, oczywiście oświecony wiarą, wskazać nam może cel naszego istnienia, on jeden pouczyć nas może, w którą stronę skierować winniśmy dążenia, wysiłki i całą energię naszego życia. Rozum też wreszcie wskazać nam może nie tylko cel, ale i drogę doń wiodącą.

W rozumie więc szukać winniśmy odpowiedzi na pytanie, jak przygotować się należy do spełnienia naszego powołania. Jego mamy się radzić, czego się uczyć, co czytać, czemu poświecić czas i wysiłki nasze, aby jak najwierniej wykonać zadanie naszego życia. Ponieważ zaś niepodobieństwem jest człowiekowi, choćby najsilniejszemu obejść się bez pomocy bliskich mu osób, rozum wiec również winien być nam przewodnikiem w wyborze naszych przyjaciół, towarzyszy i współpracowników. Jednym słowem mówiąc, wszystko, do czego w życiu dążymy, wszystko, czego się podejmujemy, powinno być rozjaśnione światłem rozumu.

Jeśli jednak rozum tak wielką odgrywa rolę, jeśli bez niego, pod grozą zbłądzenia, kroku na drodze życia zrobić nie możemy, gdzie więc go szukać mamy? Wszak wiemy, że nie jest on przywiązany ani do urodzenia, ani do pieniędzy, ani do żadnych stanowisk socjalnych. Gdzie więc i jak szukać winniśmy rozumu?

Odpowiedź na to pytanie daje nam Psalmista. Do Boga zwraca on modlitwę swą: *Daj mi rozum a żyć będę* „Myślałem — mówi Hiob — że długi wiek mówić będzie, a mnóstwo lat nauczy mądrości. Ale natchnienie Wszechmogącego daje rozum“ *(Hiob XXXII. 8)*. U tegoż więc samego źródła, gdzie czerpiemy życie, czerpać winniśmy również i rozum. A jak życie ludzkie wymaga twórczości Bożej nie tylko, by się zaczęło, ale również, żeby nadal trwało, tak też i rozum nasz potrzebuje ciągle oświecenia Bożego: ponieważ każdej chwili naszego życia dokonywa się wybór naszej drogi, rozum nasz, by nie zbłądzić, musi w Bogu szukać światła i natchnienia. Zwracajmy się więc nieustannie do tegoż źródła życia i światła i czerpmy zeń ową wodę żywą, która jedna zagasić może w nas pragnienie poznania i mądrości. Za Psalmistą Pańskim powtarzajmy jak najczęściej z głębi duszy: *Daj mi rozum, a żyć będę.*

**Ks. Augustyn Jakubisiak**

*(Rozdział z książki Ks. A. Jakubisiaka p. t. „WYTRWAĆ BY ZWYCIĘŻYĆ” (Zbiór odczytów i przemówień) Paryż 1946. Str. 183 dużego formatu*

cu. Ktoś inny o tym, że gdy żyje się pod pamięcią rychłego zachodu, człowiek wiecznie się śpieszy, dobywa z siebie wszelkich sił, aby „zdążyć na czas", bo przed zachodem słońca ongiś nawet walka na polu bitwy musiała ustawać. Przeciwnie tam, gdzie przeważa nie „wieczorowość" aury lecz jej jakby „poranność", tam, gdzie słońce jest oślepiającą pewnością każdego dnia i grozi ludzkiemu pośpiechowi, człowiek ma zawsze czas: trwanie, trwanie, trwanie... Ale... ale może być ta „poranność" i na zachodniej północy, a „wieczorowość" na wschodniej, jak choćby z obu stron Bałtyku. Geograficznie trzeba by więc mieć na uwadze nie tylko południki, ale i równoleżniki.

„Wschód" — to bardziej poczucie wszechmocy rzeczy, świata lub Boga. „Zachód" to bardziej przewaga i wartość inicjatywy i organizacji. Być może. Ale to sprawa daleko bardziej złożona. Zachód zapobiega i utrwala i „troszczy się około wiela". „Dajcie sobie radę". Wschód pozwala rozpętywać się siłom i sławi pieśnią ukryty sens rzeczy. Znajduje w głębi siebie ukrytą rzeczywistość i w niej się zamyka, Zachód chciałby głosić wszem wobec jej prawa. Wschód szuka zbawienia w tęsknocie i oczekiwaniu, Zachód chce narzucać własną jego koncepcję zewnętrznym normowaniem. Zachód obawia się mroku, Wschód mruży oczy przed nieuniknionym wybuchem światła i przed ulewą jego promieni. „Obaj" działają wyzwoleńczo na siebie, szczególnie gdy linia spotkania idzie przez Południe. Na skrzyżowaniu tych linij jest Rzym...

Ale — może odbiegliśmy zbyt od tematu. Chodziło przecież tylko o wspomnienia, o wrażenia pewnych postaci życia religijnego w Polsce. Zachowanie się wiernych w kościele, zwyczaje, które stanowią folklorystyczną ramę nabożeństw, wygląd kościołów, itd.

Jest rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że niektóre zwyczaje po kościołach francuskich są pochodzenia chrześcijańsko-wschodniego, jak palenie świeczek, jak wolno stojące ołtarze i wiele, wiele innych (nie mówiąc już o organach, które ze Wschodu przyszły, o śpiewie wielogłosowym, o świętych wschodnich w pierwszych wiekach itp.) — a jednak to jest Zachód w formie zachowania się wiernych: zdyscyplinowane zachowanie się, każden na swoim miejscu. Pewna sztywność w połączeniu ze znaczeniem gestu i retoryką jest pochodzenia południowego i rzymsko-keltyckiego.

— Kościoły w Polsce mogą być arcyzachodnio barokowe; mogli je stawiać najbardziej renomowani architekci zachodni lub włoscy: atmosfera w nich panująca jest niechybnie wschodnia, w indywidualistycznej anarchizacji, w żywiołowości reakcji, w smutku utęsknienia, w samym, że się tak wyrażę — kształcie modlitwy. A ołtarze — czyż to nie Wschód: niemal absolutne panowanie obrazów a nie figur. Nie jest to tylko większa zdolność czucia plastyczności barwnej, ale... skutek wschodniego zakazu posągów.

Przykłady można by mnożyć do woli — aż do rozmyślań w blasku Matki Częstochoskiej, tak — wschodniej i polskiej.

**Wojciech Palenica**

TERESA SKÓRZEWSKA

# „NA NIELUDZKIEJ ZIEMI"*)

WODCIĘTEJ od świata, okupowanej przez Niemców Europie, krążyły jednak chciwie łowione wiadomości z innych kontynentów. Dotarła kiedyś radosna wieść, że deportowani w głąb Rosji Polacy już ją opuścili, utworzyli armię, która gdzieś od Morza Śródziemnego „ku nam" dąży.

Dotarła jednak tylko mała część tych, których zagarnęły Sowiety. Przynosili wiadomości o reszcie zesłanych. Wstrząsające wrażenie na mnie wywarły dwie małe broszury o latach niewoli w Sowietach; „Dzieje Rodziny Korzeniowskich" Wańkowicza i „Wspomnienia Starobielskie" Czapskiego. Te ostatnie były dla mnie pierwszą wiadomością o wymordowaniu tysięcy jeńców.

Obecnie wydana książka: „Na nieludzkiej ziemi" jest dalszym ciągiem „Wspomnień Starobielskich". Opowiada, w jakich warunkach tworzyła się Polska Armia na Wschodzie, z wyczerpanych, ostatkiem sił przybywających do punktów zbornych więźniów, którym oprawcy przedzierżgnięci w Aliantów, na chwilę uchylili bramy więzień.

Opowiada, jak punkty zborne zmartwychwstającego wojska magnetycznie przyciągały rozproszoną po bezkresach Rosji nieszczęsną ludność polską, jak zewsząd szli starcy, dzieci, kobiety, w nadziei odzyskania wolności, a nieraz już bez nadziei, byle umrzeć przy swoich, byle ujrzeć przed śmiercią ludzi, co okażą współczucie, czy błagać o pomoc dla tych, którzy już nie mieli sił przybyć.

Opowiada o wzrastającym niepokoju o los tysięcy oficerów, których nie było wśród nadchodzących; o upartych, intensywnych poszukiwaniach, rozbijających się o mur milczenia Sowietów.

**Opowiada**... wydaje mi się, że ten czasownik najlepiej określa książkę Czapskiego. Nie mam wrażenia, że ją czytałam — lecz słuchałam, słuchałam godzinami z zapartym oddechem opowiadania uczestnika i świadka tragicznych dziejów.

Raz po raz, chwilę radosnego odprężenia w smutną opowieść wnosiły utrwalone w jego pamięci wspomnienia kształtów i barw:

„...właśnie stare turkusy nabierają odcieni tak bogatych, zielonkawych, niebieskich; tylko, że niebo ma do tego nieporównany blask i świetność. Pod niebem tym leży wał potężnych. różowych gór. Jadę przy kierowcy; jest nim plutonowy Józwa w tropikalnym hełmie. Te tropikalne hełmy wydają mi się ogromne, bawią mnie i cieszą. Kiedy zaczęli się schodzić nasi kierowcy, chłopcy na schwał, i kiedy pod pierwszym hełmem zobaczyłem właśnie szeroką, czerwoną od słońca twarz Józwy, z bardzo niebieskimi i bardzo polskimi oczami, zrobiło mi się wesoło i przyjemnie".

Albo taka malarska notatka z okresu choroby:

„Szukam na czym polegał ratunek szpitala, poza ludzką przyjaźnią; że patrzałem przez okno godzinami i widziałem białą kremową ramę okienną, na tle zawsze niebieskiego, czystego bez chmurki nieba, bardzo jasnego rano, potem coraz ciemniejszego, a potem znów jaśniejącego i nabierającego koloru zielonkawego. Myślałem nad tym, jak wydobyć ten dźwięk niebieskości, ten krzyk białej ramy okiennej, na niebieskim niebie".

Każdy z ludzi co przez Rosję przeszli, niesie w sobie niezatarte obrazy geheny, które czepiają się jego snów. wydobywają się na powierzchnię urywanymi wspomnieniami o mogile matki. pozostawionej na tundrach północnych, o dziecku, zmarłym w transporcie, o śledztwach.

Wspomnienie o kraju, który przywrócił pokonane zdawało się w pochodzie cywilizacji masowe niewolnictwo. pozostało w zbiorowej podświadomości Korpusu — intensywne, palące, nabrzmiałe protestem. Udzieliło się swoim natężeniem nawet tym z nas. którzy tam nie byli.

A jednak do wspomnień tak dręczących. że zadusić je w sobie pragniemy, że wołamy jedni do drugich: „już dosyć...mówmy o czym innym" — książka Czapskiego dorzuca wartości tak pozytywne. że nie odkłada się jej z zniecierpliwieniem, w samoobronie przeciw uświadomieniu sobie nadmiaru cierpienia. Wynika to chyba z cechy autora, którą sam tak określa:

„Niegdy nie umiałem widzieć sprawy inaczej, jak przez ludzi; nawet Polska, to było zawsze dla mnie parę twarzy umarłych i żywych".

Więc wspomnienia jego wypełniają się szybkimi, lecz jakże czujnymi szkicami polskich żołnierzy, rosyjskich towarzyszy dni spędzonych w kolejach, generałów Andersa i Sikorskiego, polskich dzieci, sióstr w sowieckich szpitalach, między których tęsknota nawiewa twarze dawniejszych przyjaciół, jak śliczny portrecik rzeźbiarza, Jacka P. Wymieniam na chybił trafił, mieszając narodowości i rangi, bo spojrzenie autora, gdy patrzy w bliźniego, staje się obojętne na wszystko poza światem myśli, reakcji, czucia portretowanego człowieka. Szuka na nieludzkiej ziemi niezagasłej mimo poniewierki iskry człowieczeństwa, szczęśliwy, gdziekolwiek ją dostrzeże.

„W ogólnej atmosferze, gdzie świat sowiecki który nas otaczał, stawał się coraz bardziej synonimem głuchego otępiania czy zaledwie maskowanej rozpaczy, wyraz pogody, wesołości, na paru młodych twarzach spotykanych na ulicy, wzruszał i cieszył, jak szczęśliwa niespodzianka."

Uśmiech był rzadki na nieludzkiej ziemi. Częstszy odruch dobroci, nieśmiały, zalękniony, którego przecież okrutny mechanizm rządzenia nie zdołał wytępić doszczętnie. Czapski skwapliwie notuje dobroć gdziekolwiek ją spotka: u dziewczyny sowieckiej „zapracowanej, nieustannie czujnej gdzie i komu pomóc", u delegata P.C.K., co sam wiózł na cmentarz zwłoki wymierających od męki wygnania" polskich dzieci, u rodziny amerykańskiego lekarza, co całym sercem się zaopiekowała opuszczającymi Sowiety Polakami.

Sam się dostawszy do tego amerykańskiego szpitala, olśniewającego po trzech latach Rosji, nie przestaje wspominać z wdzięcznością dobroci, jakiej poprzednio zaznał w szpitalu sowieckim.

„Co za nieludzki wysiłek, by tam, w tamtych warunkach, stworzyć taką samą jak tu atmosferę troskliwości, by tam ludziom przywracać siły i zdrowie."

Najbardziej może wzrusza w tych wspomnieniach Szefa Propagandy Korpusu, zupełna jego niezdolność do jakichkolwiek propagandowych odchyleń od prawdy, jak ją widzi i czuje. Absolutne oddanie sprawie której służy, zaostrza właśnie jego widzenie zarówno dobra jak i zła.

Widzi tragiczną przepaść między bohaterstwem Polaków w uniesieniu wielkich chwil a „niegodną łatwizną i głupotą dnia codziennęgo".

„Patrząc na tych ludzi, obserwując siebie samego stwierdzałem, że nie staliśmy się lepsi ani na odrobinę. Wystarczy, aby ludzie w podartych fufajkach, męczennicy i bohaterowie, nałożyli mundury, podjedli, a już wyłazi ta sama stara tandeta, flirty, wódka, brak myśli i inteligencji, blaga i bezgraniczna zarozumiałość".

W epoce, gdzie wśród walk coraz okrutniejszych odrzucających wszelkie skrupuły, ulega się pokusie deformowania myśli i patrzenia na wszystko pod kątem widzenia własnego interesu, czy krzywdy, to uparte trwanie w myśli bezinteresownej oceny człowieka, skupienie uwagi na etyce stosunku ludzi do ludzi, jest niemal anachronizmem.

Lecz ostatecznie, tylko jeśli ten anachronizm odrodzi się w powszechnie przyjętą zasadę, jeśli ludzkość cofnie się z drogi materializmu dialektycznego do pojęcia dobra, które każdy człowiek ma w sobie rozwijać i zła, które ma zwalczać w życiu osobistym i społecznym, bo żaden prywatny czy państwowy interes go nie usprawiedliwia — ustanie kiedyś poniewierka człowieka na nieludzkiej ziemi.

Dobrze to określił inny więzień Sowietów, Grubiński, twierdząc że nigdy droga administracyjna nie wskrzesi w ludzkości wartości, którą Chrystus w nią wpajał ucząc miłości bliźniego.

„Stalin" pisze Czapski „wyrwał z serca i zniszczył w każdym człowieku, który mu się poddał, świat modlitwy". Bolszewizm pod tym względem zrealizował najkonsekwentniej postulaty doktryn, które go poprzedziły. z których wyrósł — których działanie zaznacza się jednak we wszystkich krajach, objętych kiedyś chrześcijańską cywilizacją. Ogólne opadanie życia na plan wyłącznie materialny najlepiej chyba tłomaczy etiologię wielkiego niepokoju współczesnej ludzkości. Nieludzka staje się ziemia wypierająca się Boga.

* * *

Uwaga: W większość książek i artykułów o Rosji wkradł się zwyczaj umieszczenia cytatów rosyjskich bez tłomaczenia. Przytaczając zdania francuskie, podaje autor w odsyłaczu tekst polski, ale zapomina, jak wielu innych pisarzy, że język rosyjski nie jest bynajmniej znany ogółowi Polaków. Chińszczyzną pozostają dla nich liczne zdania i wyrazy w cudzysłowach: „Nasza żyźń oczeń grubieje", „liczny podarok", „sałazki", „pierechoditje" it.d.

Cytowani są w książce poeci rosyjscy, między innymi Biełyj. W innym miejscu jest mowa o antologii Bieławo. Po długiej chwili dochodzę do wniosku, że w obu wypadkach chodzi prawdopodobnie o tego samego poetę. Dlaczego, skoro Proust, Prousta — Cezar, Cezara (a nie Caesaris) Biełyj w drugim przypadku polskiej książki, którą się chce przeczytać bez potrzeby zaglądania do słownika i gramatyki rosyjskiej, nie powinien być: Biełyja, czy Biełyj'a?

T. Skórzewska

*) Józef Czapski: „Na nieludzkiej ziemi" 1949. Wydawca: Librairie „Libella". 12, rue St. Louis en l'Ile Paris 4.

# NOTATNIK

Dokończenie ze str. 1

ku cieśli, młota u kowala, cegły kładzionej przez niewidzialnego mularza z przebiegłym chichotem budującego wielkie natłoczone więzienie dla ślepych zabawek w ręku żółtego diabła". Ci ludzie, pisał Gorkij, „są tragicznie zadowoleni z siebie".

500.000 egzemplarzy broszury propagandowej pod tytułem, „W Ameryce" zawierające ówczesne artykuły Gorkiego poinformują obywateli czerwonego caratu o życiu ludzi w Mieście Żółtego Diabła.

Poza Francuzem, który, jak opowiada w swej książce o Rosji Dawid Dallin, opisywał przed laty, jak to z magnatami rosyjskimi pijał herbatę w cieniu rozłożystej klukwy („sous l'ombre d'un klyukwa majestueux), nie ma ze strony podróżników zagranicznych sprawozdań z pobytu w Rosji na początku tego wieku.

Przy ruchliwości dzisiejszych dziennikarzy odkryto jednak obecnie, iż w tym kraju „czerwonego diabła" jest przynajmniej piętnaście milionów więźniów ,a braki autarkii oraz kolektywizmu dają się znakomicie wyrównać korzyściami, które zapewnia praca niewolnicza. Dają się one ująć w ścisłą formułę ekonomiczną. Należy pomnożyć wartość rocznej produkcji darmowego robotnika, zmniejszoną o koszt wyżywienia istoty ludzkiej w rozmiarze niezbędnym dla utrzymania jej przy życiu przez ilość niewolników. Odnowienie sił tkwiących w ciałach zmarłych odbywa się za pomocą czerpania w rezerwuarze „natłoczonych więzień" wzniesionych przez „chichoczącego mularza" na usługach Czerwonego Diabła.

Przy budowie kanału Stalina łączącego Białe Morze z Bałtykiem z 200 tys. zatrudnionych więźniów zmarło w ciągu półtora roku 50 tys. Otwarcie kanału połączone było z uroczystościami, na które zaproszono szereg pisarzy sowieckich. Wielbili oni dzieło dokonane „rękoma przestępców. którzy w ten sposób stali się pożytecznymi członkami społeczeństwa".

Gdy Maksym Gorkij zwiedzał roboty, przy budowie tego kanału, skazańcy, by zjednać opraców. jak informuje Dallin, śpiewali:

Jesteśmy więźniami na wolnej ziemi,
Gdzie niema cierpień, ani tortur,
Nie ukarano nas, ale poprawiono,
Co nie jest żadną tajemnicą.

Też „tragicznie zadowoleni".

## NIE WYWOŁUJ WILKA Z LASU

Amerykańską autorkę i dziennikarkę współwydawczynię angielskiego pisma w Moskwie p. Annę Strong spotkała. charakterystyczna przygoda. Gdy zaczęła zbytnio nastawać, by wydano jej wizę do komunistycznych Chin przez Mandżurię, znalazła się w Łubiance, oskarżona o szpiegostwo. Myślała, że jest persona gratissima w Moskwie. Tymczasem, cóż za zawód. Czyż nie chwaliła komunistycznej Rosji w ciągu lat trzydziestu? Czy pani Mołotow nie brała jej pod rękę na oficjalnym przyjęciu, jeszcze tak nie dawno, bo w listopadzie? Pisma amerykańskie wyśmiewają się dziś z p. Strong podkreślając sprzeczność między zachwytami nad ustrojem a „paniką". która ją ogarnęła w więzieniu, w serii wspomnień drukowanych w „NewYork Herald Tribune".

Jeżeli tak wychwalała sądownictwo rosyjskie, to w jaki sposób mogło jej przyjść na myśl, iż grzeczne zapytanie o zdrowie ma na celu sprawdzenie czy by się nie nadawała do ciężkich robót w lasach? Ponieważ pościel była czysta, rano dostała obfitą porcję mleka z ryżem i szklankę kawy, więc gotowa była się założyć, iż chodziło po prostu o to, by napisała artykuł o wzorowych więzieniach. W Rosji trudno o bardziej pochlebny sąd o sprawiedliwości sowieckiej!

Parę dni później, nie doczekawszy się odpowiedzi na list do wysłany do Mołotowa, amerykańska dziennikarka odwiezioną została do granicy polskiej, gdzie zwrócono jej posiadaną przez nią gotówkę — 613 dolarów.

Nie zamarzła w śniegach polskich i wilki jej nie zjadły ,choć wizja ta w koszmarach wciąż ją prześladowała.

ZOFIA KOZARYNOWA

Dokończenie

# „PAMIĘĆ MALUJE PRZESZŁE LATA"...



*Jan Kasprowicz*

— W czerwonej okuadce! — przedomu był Kasprowicz. Powiązała go istna sieć przyjaźni z trzema pokoleniami, poczynając od pełnego czci stosunku do mego Dziadka, Jeża, który był, można powiedzieć, jednym z odkrywców Kasprowicza. Z Ojcem moim byli na „ty" (fakt niepowszedni, bo Ojciec niechętnie się poufalił), a do mojej Matki miał ogromne zaufanie i okazywał jej szczególnie rycerską serdeczność. Po pierwszej wojnie, gdy mój brat Andrzej dostał katedrę sanskrytu we Lwowie, przyjaźń między nimi zacieśniła się; często Kasprowicz zasięgał rady Andrzeja, niezrównanego znawcy dziesiątków języków, gdy nawiedzały go wątpliwości w przekładach z obcych poetów. Mimo jednak nowopowstałego koleżeństwa. Andrzej nadal mówił mu „pan", a on po dawnemu Andrzejowi „ty", jak nam wszystkim. Wtedy już rodzice od dawna opuścili Lwów, ja wyszłam za mąż, lwowskie stosunki rozsnuły się, i Kasprowicza też widywało się rzadko. Już był inny zresztą, wygolony, młodszy i starszy zarazem, obcy.

Ten, którego chowam w pamięci, miał w sobie coś z dębowego pnia, zwięzłego i rozłożystego; był dobrze korpulentny (później przychudł) ale nie otyły, owszem krępy i muskularny. Spojrzenie spod czoła podzielonego na trójkąty wysokich skroni wrastającym pomiędzy nie trójkątem kępy włosów, miało w sobie szczególny magnetyzm. Synek Zygmuna Wasilewskiego, mały Tadzio, patrząc z podziwem na jego brzuchatą postać, zapytywał:

— Czy pan Kasprowicz zawsze taki najedzony?

Było to w redakcji „Słowa Polskiego", gdzie Kasprowicz pracował. Przychodziłam tam nieraz z Ojcem, a przedtem jeszcze do redakcji dziennika „Wiek XX", który mój Ojciec założył i wydawał przez krótki czas, bo gdy powstało „Słowo", „Wiek XX" zlał się z nim i przestał istnieć. Kasprowicz był jednym z niewielu współpracowników tego pisma, które lubiłam odwiedzać, ze względu na telefon: gdy dzwonił ten tajemniczy aparat umieszczony w ścianie, Kasprowicz dawał mi jedną z dwu słuchawek, a jeśli rozmawiał z kimś znajomym, pozwalał zawołać dzień dobry do tuby. Bywał wtedy stale na Gołębiej, na niedzielnych czarnych kawach. Chętnie ze mną rozmawiał, gdy, korzystając z przywileju najmłodszej, wsuwałam się między gości. Nawiązując nie wiem już do czego, zapytał raz:

— A ty skąd wiesz, że ja piszę? Co napisałem?

— „Miłość" — odpowiedziałam.

— No patrzcie! Co za „Miłość"?

— W czerwonej okładce. Jest u Tatka.

— W czerwonej okuadce! — przedrzeźniał Kasprowicz i śmiał się swoim charakterystycznym, kobiecym chichotem.

Najbardziej zagęściły się jego odwiedziny podczas bezkrólewia małżeńskiego, kiedy potrzebował przyjaznego oparcia. Przenieśliśmy się już byli na wieś, do Łoziny pod Janowem (blisko Lwowa), i tam przyjeżdżał, ciesząc się, gdy latem podawano kolację przy świetle dziennym. Zajadał z apetytem kwaśne mleko z różową śmietaną, upominał się o dużo szpinaku, który pasjami lubił. Przywoził czasami córeczki, które odrazu ściągały buciki i hasały boso. Gdy miałam lat czternaście trzymał do chrztu w parze ze mną pewną moją kuzyneczkę. Już nie mieszkaliśmy stale we Lwowie, gdy się powtórnie ożenił. W pierwszych latach wojny bywała jeszcze wymiana odwiedzin między Poroninem a Zakopanem, gdzie mieszkaliśmy do r. 1917, ale to już nie była dawna zażyłość.

Znaną i cenioną poetką była podówczas we Lwowie Maryla Wolska, choć było to na długo przed wydaniem „Dzbanka malin", zbiorku zawierającego najpiękniejsze, najgłębsze jej utwory. Widzę ją jak dziś, gdy z mężem, Wacławem, wydawcą „Słowa Polskiego", który był wysoki, przystojny, imponujący i miał wyraz wielkiej dobroci, przychodziła z niedalekiego Zaświecia na Gołębią. O ile była sama, przychodził po nią służący; mówiła, że źle widzi wieczorem, co nie mieściło mi się w głowie, kiedy patrzyłam na jej piękne, błyszczące oczy. Raz miała na ciemnych włosach turban z białej gazy; śliczna, świeża twarz z głębokimi oczyma wyglądała pod nim, jak zjawisko. Opowiadała, że był u nich na wieczerzy wigilijnej Paderewski, i córeczka (chyba Beata?) usadowiwszy go na podłodze przy choince, ustroiła w metalowe nici zwane „włosami anielskimi"; zadowolona z efektu, przyglądała się czuprynie muzyka, wówczas jeszcze złocistej i puszystej, i klaszcząc w rączki wołała: „Pan Padejeśki tejaś juś ciały ziuoty!"

Kontrastowym zupełnie zjawiskiem była Bronisława Ostrowska, szczupła do chudości, z wąską twarzą i ostro zarysowanym profilem, w czarnej powłóczystej sukni. Była podobno bardzo interesująca; nie znałam się na tym i wolałam patrzeć na łagodne rysy pani Wolskiej. Mąż poetki Stanisław Ostrowski, początkujący rzeźbiarz, czuł się onieśmielony w otoczeniu ludzi znanych i poważnych. Gdy moja Matka zaznajamiała go z towarzystwem na pierwszej ich wizycie, szepnął jej z przejęciem: „Ależ tu sami czcigodnicy!" Przypominałam mu tych „czcigodników", który to termin wszedł potem w użycie w naszym domu, gdy, przed samym wybuchem ostatniej wojny, spotkałam go raz w Mediolanie. On nie mógł mnie pamiętać, ja nie byłabym poznała: został mi w oczach obraz szczupłego brunecika, a przedstawiono mi zażywnego siwego pana, który ucieszył się, gdy z ust nieznanej pani w średnim wieku usłyszał o tych pradawnych czasach. Bronisława Ostrowska była wtedy poetką tylko, to znaczy, nie pokusiła się o sławę, jaką przyniósł jej wiele później Pluszowy miś, zrodzony z wojennych przygód, już chyba na dość krótko przed śmiercią autorki. Bo ani ona, ani Wolska nie żyją już od dawna, jak Ruffer, Mianowski, Kasprowicz — cały zastęp poetów, o których mowa.

I Henryk Zbierzchowski, popularny bard lwowski, z fontaziem, z piosenką, przygrywką na fortepianie, żoną Ireną, kieliszkiem i zawsze trochę cygańskim humorem. Wybrali się raz z Sichulskim, w studenckich czasach, do Rzymu. Uciułali trochę koron na bilet, ale na pobyt już nie starczyło. Biegali po Rzymie na głodno, odżywiali się tylko figami i pomarańczami, które były bardzo tanie. Sichulski ze zgrozą wspominał gwałtowne działanie tych owoców na czcze żołądki. Nie wiadomo jakbby się skończyła wyprawa, gdyby nie opiekuńcza dobroć starszej pani z Ukrainy, p. Montrezorowej, która z wielką poczciwością zamówiła u Sichulskiego swój portret. Nie musiało to być jeszcze arcydzieło, ale podreperowało finanse młodych podróżników.

Miernym poetą, lichym dziennikarzem, ale rozbrajająco poczciwym i swojskim człowiekiem był, zaginiony na poprzedniej wojnie, Kazio Baranowski, ogólnie tak nazywany. Po matce Włoszce miał typ, ale nie urodę (tę zaakaparowała jego siostra Laura, późniejsza Ohmielińska); bywają jednak przecie i brzydcy Włosi, do tych nasz Kazio należał. Tkwił w pewnym tygodniku, zwanym „Nasz Kraj", gdzie więcej było dobrych chęci niż talentów. Pisał wiotkie strofy o wiśniowych sadach, o „łęgach", o „wiośnianej paradzie drzew". Były wtedy jeszcze w użyciu resztki rekwizytów młodopolskich, takie różne łęgi, krużę, wszelakie nastroje upojne i ukojne, dobre ręce, i ust owoce, kwiaty lub korale. Tym hołdował w szczególności Wacław Wolski (nie mieszać z mężem Maryli z Młodnickich!) również drukujący w „Naszym Kraju". Ile tam było zaczarowanych królewien, upiornych albo i upojnych nocy, ile dni zbożnych i zojnych, ile kielichów ust! Wacława Wolskiego spotkałam w Warszawie u schyłku jego życia, smutnego iście „upiornego" życia, zakończonego wkrótce samobójstwem (był to, jeśli się nie mylę, rok 27.). Żądny przychylności ludzkiej, potrafił pod byle pretekstem pisać sążniste listy na odwrocie jakichś formularzy, na marginesach zadrukowanej makulatury; obrażał się chorobliwie bez powodu, potem kajał się i przepraszał. Był to człowiek psychicznie chory, na tle grafomanii, która w połączeniu z biedą uniemożliwiała mu istnienie. Nikt go nie myślał drukować, a biedak chorował na nieopanowaną potrzebę druku. Zaczarowane królewne i pęknięte kruże przeżyły się definitywnie.

Jeszcze przecie i Maria Kazecka, cieniutka, cichutka pani nieopisanej dobroci serca, pisywała wiersze do „Naszego Kraju". Jeden z tych wierszy pamiętam do dziś dnia. Uznaliśmy go z braćmi za pozbawiony wszelkiego sensu, a zatem niemożliwy do zapamiętania: istotnie, choć każde z nas łatwo uczyło się na pamięć, z trudem wbiliśmy w głowy wiersz Kazeckiej, aleśmy wbili i już pozostał. Pierwsza zwrotka brzmi jak następuje: Cierpieniem bezsnu, dłużą jasnych nocy Wypracowałam sobie świat ukoi, Ogród ubrany w bezblaski i cisze! I tak dalej.

A nieprawda, żeby nie miał sensu. Odtąd naczytałam się tyle tęższych nonsensów, że ten wiersz wydaje mi się nieomal klasycznym w swym poszanowaniu rytmu i, jak się z dalszego ciągu okazuje, rymu. Słownictwo jest trochę osobliwe, no, wielka rzecz.

Raz była wielka feta w Łozinie, literaci bowiem wyliczyli memu Ojcu trzydzieści lat pracy piórem i dalejże urządzać mu jubileusz (mało nadawał się do tego Ojciec, wróg ostentacji, zamknięty w sobie i pod pozorem wyniosłości niezwykle nieśmiały), zjechały więc pewnej słonecznej niedzieli przeróżne delegacje literackie i wśród nich miła, skromna, szczupła Maria Kazecka. Jeden z moich braci siedział koło niej przy stole i w rozmowie począł zapewniać, że umie jej wiersze na pamięć. Nie wierzyła. Wydeklamował więc cały utwór: „Cierpieniem bezsnu, dłużą jasnych nocy..." aż do ostatnich słów: „Tam jeszcze nigdy nie było nikogo, a z dusz by mogły być tylko milczące, Wśród których nie ma ni słów, ni zapytań".

Opuścił tylko uzupełnienie, które nie było już jej dziełem: W tym miejscu brat mój zwykł był uderzać w klawisze fortepianu refrenem bzdurnej piosenki: „Nie widział pan małego Kohna gdzie?" Może by się i ubawiła Kazecka, gdyby jej to wprost opowiedzieć; ale sam fakt pamiętania jej utworu wzruszył ją, płoniła się i uśmiechała promiennie. Ostatecznie, mój Boże, może nie było to znów tak niegodziwe!

Z biegiem lat wyrobiłam sobie sąd o tych różnych poetach na podstawie ich twórczości, ale sylwetka każdego pozostała taka, jaka rysowała się przed oczyma dziecka lub nieśmiałej podfruwajki łozińskiej. Niektórzy wyrośli — jak Kasprowicz — inni zmaleli, oddalili się, jak nie jeden z tych wówczas młodych, albo, wśród starszych, znany w swoim czasie Kazimierz Gliński.

Przyjeżdżał z Warszawy do Łoziny na dłuższe pobyty i pisał a pisał. Któż dziś pamięta ową „Królewską Pieśń" w płynnych oktawach, pisaną w oficynie łozińskiej? I jego samego, facecjonistę ze staroszlacheckim zacięciem i niezrównaną werwą w opowiadaniu anegdot? Dziesiątki lat biedowania na warszawskim bruku nie zmogły jego kresowej fantazji. Liczna rodzina — czworo dzieci! — do utrzymania z pióra, to wystarczy. Wychował, wykształcił, najstarszego syna przeprowadził przez medycynę, z pomocą „dobrze urodzonej" żony zaharowanej w gospodarstwie. On sam lubił wywodzić swój ród z kniaziów Glińskich. Fantazja złociła mu życie, może i deformowała niejedno; z pism jego niewiele pozostało, ale któż nie uczci pamięci człowieka prawego, zacnego do szpiku kości i pracowitego — nie jak wół, jak pszczoła — który żył poezją! Obaj jego synowie też jakiś czas kroczyli śladami ojca, ale nie przeszli z amatorstwa do zawodostwa.

Z tych wówczas już starszych do mniej zapomnianych należy Władysław Bełza, zasłużony społecznie, popularny i lubiany dzięki swym zaletom i znanej dobroci serca, a ceniony w swoim czasie jako poeta. Miał upodobanie do łatwych rymów i sypał nimi w mowie i w piśmie na codzień i od święta, na rocznice i jubileusze, inauguracje i odsłonięcia pomników, na pocztówkach patriotycznych, do śpiewu jako hymny i kantaty. Notoryczny patron dzieci, ilustrował wierszem gry towarzyskie i czekoladowe abecadła, dorabiał teksty do seryjnych obrazkowych książeczek, zasilał czasopisma dziecięce.

Lubiliśmy go bardzo, ale, jak sobie dziś zdaje sprawę, jako człowieka, za serdeczność, prostotę i ujmującą łatwość w stosunkach, nie za jego specyficzną twórczość — należałoby raczej powiedzieć, że pomimo niej. W naszym domu panował inny styl, dostawaliśmy gęsiej skórki na samą nazwę „milusińscy", jak to skwalifikował był nieletnie ofiary nieproszonej czułości któryś z wieszczów mniejszego lotu. Musiał więc Bełza przykuwać mocno swym urokiem osobistym i szlachetnością postaci, jeśli nie przemogła tego cała pierniczkowa konwencjonalność jego rymów.

No, ale przecie do ówczesnej młodej generacji poetyckiej Lwowa należał też Kornel Makuszyński z okresu swego „Połowu Gwiazd". Młody a już łysy Makuszyński dopiero zaczynał się wtedy manierować. Jako podlotek miałam do niego antypatię, a może to była tylko maska zainteresowania. To wywołało ze strony poety przekorne zabieganie o względy: książki z dedykacjami, pocztówki podpisywane wspólnie z Kaziem Baranowskim i dramaturgiem Janem Augustem Kisielewskim (wtedy był tylko ten jeden znany w literaturze: jeszcze nie przyszła moda), ot takie dzieciństwa, które głęboko przeżywałam, udając że nic.

Makuszyński pewnie nic z tego nie pamięta, ale ja pamiętam, że zapisał sobie na lampie w redakcji przypomnienie daty moich imienin. Mnóstwo wierszy z „Połowu Gwiazd" do dzisiaj umiem, gdy przeważnie nie zna się już nawet i tytułu, a są tam dobre strofy.

Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że pewne święta Bożego Narodzenia, które Makuszuński spędził w Łozinie, należały do najnudniejszych. Na wieczerzy wigilijnej był oprócz niego młody, zażenowany ksiądz, syn właściciela drobnego gospodarstwa rolnego na terenie Łoziny; właśnie na krótko przedtem odprawiał był swą pierwszą mszę św. w dworskiej kaplicy, a raczej kościołku, który Ojciec wybudował na wzgórzu nieopodal, aby odciągać rzymskich katolików we wsi od cerkwi, do której chodzili wobec oddalenia własnej parafii.

Towarzystwo wigilijne było niezgrane. Trudno określić, kto kogo krępował, dość, że dowcipy Makuszyńskiego upadały, nierozumiane przez księdza, ten zaś nadaremnie usiłował oblekać się w powagę: młodziutki i niedotarty towarzysko czuł się tym czym był, nieśmiałym wsiowym chłopakiem. Domowi nie próbowali się przystosować, i nawet Mama, zawsze pełna werwy i ożywienia, przygasła i nie potrafiła opanować sytuacji. Wieczerza ciągnęła się nudnie i pozostała mi w pamięci jako największa „klapa" Makuszyńskiego.

Skoro zaczęło się od Staffa, wypala na nim skończyć. Może dla poratowania honoru wspomnę, że raz widziałam go z bliska w tramwaju ŁD, czyli Łyczaków-Dworzec. Było to wkrótce po wydaniu zbiorku „Gałąź Kwitnąca". Niejeden chyba pamięta te ciemnobłękitne tomiki z bledszym kwiatowym deseniem, w stylu, niestety, tak zwanym secesyjnym: linie opływowe ku dołowi, jak zwisający z łyżki rozgotowany makaron. Ale pojawienie się takiego tomu, cóż za święto! Wydawał je, zdaje mi się, Połoniecki (Księgarnia Polska); może się zresztą mylę. Pamięć, nieoparta o dokumenty, łatwo zawodzi, a dokumenty odpłynęły w przeszłość bez powrotu. Dziś dla nas wszystkich, brodzących w ciemnościach, pozostał „biały kij i czarna noc", jak mówi — także — Staff. I mówi wreszcie:

*W ruinach pająk sieci snuje,*
*Czas każe płacić wiosny długi,*
*Lecz nie żałuję! nie żałuję!*
*I wszystko spełniłbym raz drugi.*

**Zofja Kozarynowa**

JÓZEF JASNOWSKI

# OSTATNI Z TYSIĄCA WALECZNYCH

## 1.

Z JEDNOSTEK armii Królestwa Kongresowego, które wzięły udział w **powstaniu listopadowym**, największy rozgłos zyskał sobie czwarty pułk piechoty, tak ze względu na okazaną waleczność jak i ilość poległych. Tylko bardzo nieliczni z jego szeregów ocaleli i zdołali ujść pogromu.

W niniejszym artykule opowiemy dzieje żywota i czynów jednego z tych czwartaków dokonane na obczyźnie, w Szkocji, Anglii i Irlandii.

Jerzy Ręczyński urodził się 23 kwietnia 1805 roku w Ludwinowie. Po ukończeniu szkoły średniej w Lublinie, wybrał się (w grudniu 1824) do Warszawy, gdzie przez kilka miesięcy pracował w Biurze Rządowej Komisji Przychodów i Skarbu, biorąc równocześnie lekcje matematyki, miernictwa i rysunku. W maju 1825 został przyjęty jako kandydat do korpusu oficerskiego i wcielony do 4. pułku piechoty, celem odbycia przepisowego przeszkolenia. Doskonała kondycja fizyczna i nieprzeciętne zdolności umysłowe rokowały mu jak najlepsze nadzieje na szybki awans. Już po roku służby i po skończeniu specjalnego kursu, został mianowany instruktorem pływania w swoim pułku, wykazawszy wielką sprawność w tym mało wówczas popularnym sporcie.

Duchem koszarowym jednak nie przesiąkł, stronił od swawolnych zabaw, a czas wolny od zajęć służbowych spędzał na swej kwaterze, rysując piękne desenie do haftów dla sióstr i przyjaciółek swoich kolegów oraz rzeźbiąc precyzyjne ozdoby — z pestek od wiśni, bursztynu i perłowej macicy. Zarówno rysunki jak i ozdoby Ręczyńskiego, cieszyły się wielką popularnością wśród pięknych Warszawianek. Potrzeby intelektualne zaspokajał lekturą, czytając znakomitych autorów krajowych: Bernatowicza, Niemcewicza i Mickiewicza. Chętnie również grywał w szachy i doszedł w tym do takiej wprawy, że uważano go za najlepszego szachistę pułku.

Tak żyjąc przykładnie i czekając na awans — doczekał się wybuchu powstania listopadowego. Ponieważ w spiskach i zmowach poprzedzających je nie uczestniczył, nie wziął udziału w lokalnych walkach w pierwszych dniach, czekając spokojnie na rozwój wypadków. Kiedy jednak powstanie przerodziło się w wojnę narodową przeciwko Rosji — Ręczyński rzucił się w wir walki, bił się jak lew i dosłużył się bardzo szybko stopnia kapitana oraz orderu „virtuti militari".

Mimo jego waleczności — powstanie upadło. Nie chcąc się dostać do niewoli, z garstką niedobitków swego pułku, pomaszerował w stronę granicy śląskiej. „Ja byłem — pisał później w swoich pamiętnikach — ostatni, co przekroczył granicę Polski, 14 października (1831) pod Bobskiem do Oświęcimia".

## 2.

Z chwilą opuszczenia Polski rozpoczęła się dla Ręczyńskiego druga część jego życiowej epopei, może nie tak barwna i brawurowa jak pierwsza, ale niemniej ciekawa. Z przypadku czy świadomie wybrał sobie Wielką Brytanię jako zastępczą ojczyznę dla swego emigranckiego żywota. W maju 1834 zawitał do Londynu i zamieszkał pod nr. 9 na North Street, Lambeth.

Mieszkanie to było przez długi czas miejscem schadzek dla podobnych mu tułaczy, których los zagnał również do stolicy imerium brytyjskiego. Anglicy okazywali wiele współczucia, ale że współczucie jest drzewem nieowocującym — więc bieda stała się codziennym niemal towarzyszem niedawnych bohaterów.

Ręczyński, wspominając swój żywot na North Street, tak pisał o tych czasach w 20 lat później: „Grosz był tak trudny w tułactwie, że często się zdarzało, jeżeli któren z nas zastawił część ubrania u fanciarza, to po załatwieniu nieodbytych potrzeb życia, za resztę pozostałych kilka pensów kupił sobie uncyjkę tytoniu i zapraszał zaraz swoich sąsiadów na bankiet. Często, gdy nie było więcej fajek nad jedną, tośmy siadali w kółko i zacząwszy od właściciela, każdy pociągał skolei aż się do ust właściciela próżna gipsówka nazad wróciła; a jeżeli właściciel był egoistą niechcącym dać fajki nikomu, tośmy go prośbą zmuszali do puszczenia dymu z ust swoich do ust sąsiada, ten następnie w usta swego pobocznika i ten znów innemu i tak w kolej aż do ostatniego, któremu często, oprócz chuchnięcia, nic się z dymu nie dostało".

Zdaje się, że Ręczyński był jednym z pierwszych, którzy się z tej ponurej biedy wykaraskali. Nieprzeciętne zdolności dopomogły mu do szybkiego opanowania języka angielskiego, a to już umożliwiło mu znalezienie pracy. Po latach tułaczki, zmian i niepowodzeń dostał się wreszcie na stanowisko godne jego wiedzy i talentów: został wykładowcą fortyfikacji i budownictwa w Foyle College, w Londonderry oraz, tamże, nauczycielem języków obcych nowożytnych. Z czasem, gdy prezbiterianie założyli w r. 1865 w Londonderry swój uniwersytet (Magee Presbyterian College), Ręczyński objął i tam wykłady języków obcych nowożytnych.

Przed wyjazdem do Londonderry Ręczyński przebywał przez pewien czas w Stirling, w Szkocji, gdzie mieszkała dość liczna grupa Polaków-emigrantów. Istniały wówczas w tym zacnym mieście dwa szkockie kluby szachowe, szczycące się sławą niezwyciężonych w lokalnych turniejach. Ręczyński grywał w nich i zawsze dawał mata, co mu zjednało niesłychany podziw i szacunek u Szkotów w całym Stirlingu i okolicy.

Dowiedział się o tym niejaki Gomoszyński, emigrant polski osiedlony w Greenock a szczycący się tym, że grywał w szachy z Lafayette'm, Thiers'em oraz wielu innymi ministrami i wybitnymi mężami stanu i uważający się z tego powodu za mistrza szachowego. Aby dać Ręczyńskiemu nauczkę i pokazać lwi pazur, wybrał się do Stirling, zagrał z nim i ... przegrał z kretesem. Pan Jerzy triumfował na całego, mając słodkie złudzenie, że pobił nie tylko Gomoszyńskiego, ale Lafayett'a, Thiers'a i cały rząd francuski! Sława najlepszego szachisty w Stirlisghire jednak go nie zadowoliła. Bardzo popularny był wówczas w Szkocji szlachetny sport polegający na rzucaniu włócznią, w jeździe galopem, do zawieszonego luźno pierścienia.

Pan Jerzy wybrał się pewnego razu na zawody: dosiadł konia, ujął dzidę i ku zdumieniu widzów i zawodników zdobył najlepsze wyniki i został ogłoszony zwycięzcą w turnieju. Do podziwu szachistów i sportowców dołączyło się teraz uwielbienie pięknych Szkotek, a sława pana Jerzego rozeszła się szerokim echem po całej Szkocji aż hen po Inverness i Aberedeen.

Szachy, rącze konie i piękne kobiety — to jednak nie zadawalało naszego czwartaka. Jako wykładowca fortyfikacji budownictwa zajmował się potrosze wynalazkami. Gdy, w parę lat później, zaczęto czynić przygotowania do wielkiej wystawy imperialnej w Londynie (Great Exhibition, 1851), Ręczyński postanowił również wziąć w niej udział. W tym celu opracował projekt wiszącego mostu, sam wykonał jego model w drzewie i przez swych ziomków. przebywających w Londynie, posłał go na wystawę. Nie wiemy, niestety, jakie były dalsze losy tego wynalazku.

O wiele więcej niż technika zajmowała wówczas Ręczyńskiego poezja. Wiersze pisał oddawna, ale tylko raczej dla swej przyjemności. Z biegiem lat jednak muza poetycka tak dalece go rozparła, że postanowił opublikować swoje płody duchowe. Okoliczności sprzyjały, bo jeden z jego przyjaciół, niejaki A. Rypiński założył sobie drukarenkę w Londynie (5, Grove Place, Tottenham). U niego to, zapewne po zniżonej cenie, wydał Ręczyński dwa tomiki swoich poetyckich utworów (oba w 1854 r.).

Pierwszy z nich, zatytułowany „Rymotwór. Trzy ofiary w jednej" poświęcił autor swemu przyjacielowi i towarzyszowi pielgrzymstwa po Wielkiej Brytanii, Ignacemu Jackowskiemu. Na treść tego tomiku składa się kilkanaście, przeważnie okolicznościowych, utworów pisanych w okresie poprzedzającym osiedlenie się w Londonderry.

Oto jeden z tych wierszy:

*Do kapitana Proszowskiego*

Tak czegoś pragnę list twój czytając,
Że każden wyraz, choć już skonczony,
 Składam raz jeszcze
 I znów wracając
 Z ostatniej strony
Czytam na nowo; czasem się pieszczę
Z onym jak dziecię w objęciach matki,
Gdy z rąk jej bierze owoc lub kwiatki.
Pod obcym niebem, w obcej krainie,
Z dala od swoich i od swej chatki —
List przyjaciela jest kwiat z rąk matki,
Dany w uciechę tęsknej dziecinie.
O, pisuj do mnie często i wiele,
Pisuj i donieś, czy wiesz co z Kraju?

*Stirling, 6 grudnia 1843.*

Drugi zbiorek, noszący równie sarmacko barokowy tytuł („Rymotwór w dwóch częściach, komiczno-tragiczny") zawiera dwa większe utwory; komedię wierszowaną (bez określonego tytułu i o mętnej treści) oraz poemat „Wacław i Elwira" oparty na autentycznym wydarzeniu nieszczęśliwe małżeństwo Polki z Rosjaninem). Ten ostatni utwór, zadedykowany towarzyszowi broni z 4 p. p. Hieronimowi Waliszewskiemu, tak się zaczyna:

„Jakże zimna i ciemna noc wśród mogił wyje —
Rzekł trup świeży staremu, któren obok siedział
Zgurbion w worku bez trumny; — a czyś ty nie wiedział
Że deszcz i śnieg, jak grochem, siecze w szkła kostnicy,
W nocach zimy i lata, a wśród nawałnicy
Aż badylki wpół wyschłe gną do grobów szyję"...

W tym czasie, gdy Ręczyński wydawał swoje pierwsze „poemata", wybuchła dawno oczekiwana wojenka z Rosją, podjęta przez Anglię, Francję i Sardynię, w obronie Turcji. Emigranci polscy, rozsiani po Europie, zaczęli krzepić się nadzieją, że połączone mocarstwa pokonają Rosję, wyzwolą i odbudują Polskę i ułatwią im darmowy powrót do wygasłych dawno ognisk domowych.

By nadziejom tym nadać jakieś choćby pozory rzeczywistości zaczęto się krzątać około utworzenia legionów polskich w Turcji. Wielu spośród emigrantów polskich osiadłych w Anglii, mimo wielu i ciężkich doświadczeń, wybrało się w tę daleką podróż morzem i lądem w nadziei, że jeśli powrócą z tej wojny, to już do wyzwolonej Polski.

Ręczyński do tych optymistów nie należał i do Turcji nie pojechał. Żegnał za to towarzyszów, udających się na wojaczkę, bardzo uroczyście, bo wierszem, wierszem również opiewał ich przeżycia i czyny wojenne, a gdy mu się tych pieni poetyckich uzbierała spora garstka, wydał ją w r. 1857 w oddzielnym tomiku, zadedykowanym Sadykowi Paszy a zatytułowanym: „Pożegnanie braci tułaczy udających się na wschód do nowych zastępów Dywizji Polskiej Kozaków Sułtańskich".

Znać w tych utworach pewien postęp, w porównaniu do poprzednio wydanych wierszy, tak pod względem językowym jak i wersyfikacyjnym; mimo to nie jest to jednak jeszcze poezja. Ręczyński i jego przyjaciele myśleli jednak inaczej.

Jest w tym „Pożegnaniu" rymowany opis bitwy pod Bołakławą. Ręczyński pochwalił się tym poemacikiem przed jednym ze swoich angielskich przyjaciół, który, snać wierząc w jego talent, poradził mu napisać go jeszcze raz — po angielsku. Pan Jerzy nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i nie tylko że napisał angielski poemat o sławnej szarży lekkiej akwalerji (przeplatany ustępami prozą), ale w dodatku wydał go drukiem w r. 1859 w Londonderry p.t „The Valley of Death". Z poetyckich prób Ręczyńskiego ta jest niewątpliwie najudatniejsza. A jeśli, mimo to, nie zasługuje na miejsce w literaturze, ani w angielskiej ani polskiej, to przynajmniej przynosi autorowi ten zaszczyt, że był pewno pierwszym Polakiem, który pisał poezje po angielsku.

Tymczasem mijały lata. Ucichły echa wojny krymskiej a z nimi i nadzieje emigrantów. W parę lat później wybuchło powstanie styczniowe i zostało krwawo stłumione. Nad Polską zagęściła się czarna, rosyjska noc. Dawna, polistopadowa, emigracja dogasała powoli. Śmierć wyłuskiwała stale z jej szeregów starych weteranów, a ci którzy jej się opierali byli coraz bardziej obcy życiu i coraz bardziej samotni. Do liczby tych „opornych" wobec zakusów śmierci należał i nasz Ręczyński. Mieszkał stale w Londonderry, związany z uniwersytetem i z nielicznym gronem angielskich przyjaciół, (bo polskich dawno już śmierć wyłuskała).

Częściowo pod wpływem nostalgii i osamotnienia, a częściowo pod wpływem lektury Starego Testamentu, popadł Ręczyński w specjalnego rodzaju mistycyzm. W latach siedemdziesiątych jego stulecia głośnym się stało odcyfrowanie t.zw. kamienia Moabitów, na którym król Mesha wyrył napis dla upamiętnienia swego zwycięstwa (850 przed Chr.) nad Izraelitami.

Interpretowano i dyskutowano ten dokument (znaleziony w roku 1868) w dziesiątkach rozpraw i artykułów w pismach naukowych; głośno o nim było i w prasie. Ręczyński zainteresował się tą sprawą tak dalece, że zamówił sobie fotokopie kamienia Moabitów, (przechowywanego w Muzeum Louvre) i postanowił go odcyfrować na nowo po swojemu. Pracował nad tym odcyfrowaniem systematycznie i długo, bo **przez dziesięć lat po dwanaście godzin dziennie**, wyuczył się dodatkowo hebrajskiego, syryjskiego, koptyjskiego i staroegipskiego i w toku tych mozolnych studiów stworzył sobie własną i całkiem fantastyczną koncepcję: że napis ten nie jest bynajmniej pochwałą zwycięstwa króla Mesha, ale jednym z objawień Jehowy nie ujawnionym w starym Testamencie.

Rewelacje te opublikował Ręczyński w r. 1880 drukiem w rozprawie „The Last of the Anakians in the Land of Moab", zadedykowanej Dr. Dyonizemu Wielobyckiemu z Edynburga. Druk tej rozprawy pokryli subskrybenci „przedpłaciciele", wśród których, zaszczycony dedykacją Wielobycki zajmuje pierwsze miejsce (kupił 50 egz). Dzieło to, poza swoistą zbyt dowolną interpretacją tekstu moabickiego i równie dowolnym jego przekładem na język hebrajski, nie ukazuje jeszcze w pełni bezdroża, na które zabrnął, pod koniec swego żywota, nasz autor. Ujawnia się to dopiero w jego dziele zawierającym interpretacje kamienia z Rosetty.

W okresie wyprawy Napoleona do Egiptu została odnaleziona w forcie Julien (dziś Rosetta) kamienna tablica z napisem w języku greckim oraz staroegipskim (alfabetem demotycznym i hieroglificznym), która pozwoliła Champollionowi odcyfrować pismo staroegipskie. Sam napis zawiera dekret Kolegium Kapłanów zebranych w Memphis, zarządzający uroczyste obchodzenie rocznicy koronacji Ptolomeusza V Egiphanesa, wzamian za ulgi i dobrodziejstwa którymi obdarzył świątynie i kolegia kapłańskie (196 przed Chr. ).

W owym czasie, gdy Ręczyński zajął się tą sprawą, treść napisu była dobrze znana i alfabet egipski dawno rozszyfrowany.

To jednak naszego — bądź co bądź pierwszego polskiego „egiptologa" nie zniechęciło do pracy. W roku 1882 wydał rozprawę p.t. „The Rosetta Stone. An Authentic Description of the Universal Deluge by one who was in the Ark! („Kamień z Rosetty. Prawdziwy opis Potopu przez kogoś, kto był w Arce Noego"). Zadeklarował ją ks. Władysławowi Czartoryskiemu, który musiał ten zaszczyt okupić subskrypcją 50 egzemplarzy.

Herezja i nonsens walczą w tym „dziele" o palmę pierwszeństwa. Autor mówi we wstępie, iż znane mu są interpretacje kamienia z Rosetty, uważa je jednak za błędne, bo ich autorowie **zbyt ściśle trzymali się tekstu**. Dopiero on, „ufny w swe niezaprzeczalne zalety umysłowe" podał właściwe znaczenie tego napisu, w którym zawarte są dzieje arki Noego od chwili, gdy rozwarły się upusty niebieskie i potop zaczął zalewać ziemię aż do opadnięcia wód i siądnięcia arki na skałach: Interpretując w ten sposób ów napis—Ręczyński był przeświadczony że uzupełnia rozdz. VII i VIII Genezis, a tym samym „poszerza" treść Starego Testamentu i uzupełnia go niejako.

Rozprawa o kamieniu z Rosetty była, zdaje się ostatnim dziełem żywota naszego czwartaka. W swoich pamiętnikach, poświęconych udziałowi w powstaniu listopadowem wtrącił mimochodem takie zdanie: „Ja jestem ostatni potomek po mieczu tej rodziny, a kiedy samotny, nie mając żadnej przyjaznej ręki, by mi zamknęła powieki, oddam Bogu ducha na ziemi wygnania, na mnie się skończy stary ród Ręczyńskich".

Zdaje się, że wizja owej samotnej śmierci nie odbiegła od rzeczywistości. Ręczyński zmarł istotnie, zupełnie osamotniony, w Londonderry w r. 1885, jako ostatni z „tysiąca walecznych", ze sławnego czwartego pułku piechoty...

**Józef Jasnowski**

# KALENDARZ

**Kwiecień 1949**

24 *n. — Niedz. Przew., Fidelisa*
25 p. — Marka Ewang., Jarosława
26 w. — M. B. Dobr. Rady, Marcelina
27 ś. — Piotra Kaniz., Teofila
28 c. — Pawła od Krz., Witalisa
29 p. — † Piotra z Wer., Bogusława
30 s. — Katarzyny z Sieny

### NIEDZIELA PRZEWODNIA

**Myśl przewodnia liturgii niedzielnej.** Niedzielę tę nazywa się inaczej niedzielą „Qusomodo" („Jako dzieci"...) od pierwszych słów jej Introitu lub też niedzielę „In albis" („W bieli"), gdyż w nią właśnie nowoochrzczeni przychodzili do świątyń i składali swe białe szaty, w których od chrztu otrzymanego w W. Sobotę chodzili. Niedziela ta zamyka oktawę Wielkiejnocy. Do tej właśnie okoliczności odnoszą się słowa Oracji t. j. modlitwy mszalnej, w której prosimy Boga, abyśmy za Jego łaską mogli zachować ducha tej uroczystości wielkanocnej, którąśmy obchodzili.

W introicie Kościół porównuje nowoochrzczonych do nowonarodzonych dzieci, a mlekiem, które daje im pić, jest wiara w Jezusa.

**Lekcja z I. listu św. Jana 5, 4—10.** Świat zwyciężamy naszą wiarą w Jezusa, Syna Bożego. Fundamentem tej wiary jest świadectwo Boga Ojca, który w czasie „przez wodę" chrztu Jezusa w Jordanie ogłosił, że jest On Synem Bożym. Świadectwem Syna jest Jego Krew, przelana na Krzyżu za zbawienie świata. Świadectwem Ducha św. jest Zmartwychwstanie Jezusa, które dowiodło Boskości Zbawiciela.

„Kto wierzy w Syna Bożego, ma świadectwo Boże w sobie" — mówi Apostoł.

**EWANGELIA według św. Jana 20, 19—31.** W dzień swego Zmartwychwstania, w niedzielę wieczorem, gdy uczniowie Jego zgromadzili się w wieczerniku i z obawy przed prześladowcami swego Mistrza zamknęli drzwi, Jezus staje w pośrodku nich, wita ich pozdrowieniem: „Pokój wam!" i ukazuje im blizny na rękach i na boku. Wtedy powtórnie rzekł im: „Pokój wam!" i wyrzekł pamiętne słowa:. „Jako mnie posłał Ojciec, tak i ja was posyłam". A tchnąwszy rzekł im dalej: „Weźmijcie Ducha świętego; którym odpuścicie grzechy — są im odpuszczone, a którym zatrzymacie — są zatrzymane". Wtedy to Pan Jezus ustanowił Sakrament spowiedzi.

Wśród apostołów zaś brakowało wtedy Tomasza, z przezwiska Didymus. Gdy przyszedł, nie chciał uwierzyć, że Jezus był u nich, chyba że by ujrzał ślady gwoździ na Jego rękach i rany na Jego boku i dotknął ich.

A gdy w tydzień później uczniowie byli znów razem i Tomasz z nimi, Jezus mimo drzwi zamkniętych stanął wśród nich i witając ich znów słowami: „Pokój wam!" wezwał Tomasza, by się naocznie i dotykiem przekonał o prawdzie Jego zmartwychwstania i by uwierzył. A Tomasz przekonawszy się zawołał: „Pan mój i Bóg mój".

Wówczas Jezus rzekł, że błogosławieni ci, którzy Go widzieli, a weń uwierzyli.

# WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

## O CZYM PISZE PRASA KRAJOWA

### TAJEMNICA NIEPOWODZEŃ BOŻYCH

Wydawany w Warszawie przez OO. Jezuitów miesięcznik „Przegląd Powszechny zamieścił pod powyższym tytułem artykuł ks. Jana Rostworowskiego, T. J.

„Po wszystkie czasy — pisze „Przegląd Powszechny" — stawiali sobie ludzie pytanie, a nieraz rzucali to pytanie i w stronę Boga, dlaczego cnocie i zasłudze tak rzadko towarzyszy błogosławieństwo doczesne. Czemu słudzy Boży zazwyczaj chodzić muszą drogami trudnymi, podczas gdy źli ludzie tak często cieszą się niemałym powodzeniem? Czemu dzieła katolickie z tylu przeciwnościami walczyć muszą? Czemu narody i państwa ,wierne Bożej prawdzie, pod względem materialnego dobrobytu pozostają tak często w tyle za krajami, które zerwały bądź to z Kościołem Chrystusowym, bądź nawet z wiarą w Boga?"

Autor odpowiada obszernym wywodem, z którego możemy tu podać tylko kilka drobnych wyjątków.

„W każdym momencie i przy każdym poszczególnym epizodzie szarych zazwyczaj, kościelnych dziejów, możnaby powtórzyć to pytanie, jakie z ufnością stawia skrępowany i sponiewierany w swej męce Zbawiciel: „Czy mniemasz, że gdybym poprosił, nie zesłałby mi Ojciec na obronę więcej, niż dwanaście hufców anielskich"? Więc czemuż tego nie czyni? Czemu dla siebie i dla Kościoła swego obiera inną drogę, tak trudną, tak ciernistą, tak często mrokiem niepowodzeń przysłoniętą?

Żeby na te pytania odpowiedzieć, trzeba najpierw z całą jasnością stwierdzić jedną, zupełnie zasadnicza prawdę. Oto mianowicie dzieła Boże, jakkolwiek zaczynają się i rozwijają w obecnym, doczesnym porządku rzeczy, nigdy nie są tym porządkiem całkowicie objęte. One docholzą do pełnego rozkwitu dopiero na innym planie, rzeczywistości duchowych i wiecznych".

Ponadto, twierdzenie o niepowodzeniach Bożych trzeba „sprowadzić do właściwych wymiarów i... granic".

„Czy nie widzimy oczyma swoimi, że w indywidualnych duszach i żywotach ludzkich odnosi Bóg ustawicznie wspaniałe ,najchlubniejsze zwycięstwa. Bo czyż nie stanowią tych zwycięstw nietylko święci, te najpiękniejsze kwiaty Bożego ogrodu, ale całe mnóstwo czy to zwyczajnych, poczciwych sług Bożych, czy nawracających się do Boga grzeszników?"

„Powodzenia dzieł Bożych w pojedyńczych duszach ludzkich innymi prawami się rządzą ,niż wszelkie, a osobliwie trwałe na społecznym polu zwycięstwa... Zbawienie, to jest rzecz czysto indywidualna... Działanie Boże na tym świecie do tego przede wszystkim zmierza, co ma trwać wiecznie, a nie tak dalece do tego, co z doczesnością się kończy."

„W dużych społecznościach przychodzi do głosu t.zw. prawo wielkich liczb, które w ewangelicznym sposobie mówienia da się tak wyrazić, że na dużym łanie musi się znaleźć i pewna ilość „kąkolu wśród pszenicy".... W społeczeństwach wielkich jest moralnie niemożliwe, żeby nie znalazły się jednostki czy to słabe, czy nawet przewrotne a takie jednostki, choćby nieszczególnie liczne, nie pozwolą na to, by cała społeczność świeciła blaskiem w pełni udanego Bożego dzieła. Zawsze bowiem tacy ludzie źli czy słabi wywołują koło siebie jakiś zamęt i doprowadzają do tego,...że poziom moralny zbiorowości układa się nie według najlepszych i dobrych, ale wedle średnich a nieraz i wedle gorszych".

A wreszcie: „Bywają obrazy które oglądaną z bliska w pojedyńczych szczegółach kompozycji, podlegają niejednym zarzutom. A jednak z całości obrazu i wielkich jego linii bije coś pięknego i wielkiego. Tak bywa i z Bożymi w świecie dziełami. Nie tylko już w poszczególnych duszach, ale nawet w większych całościach, mimo wszystkich niedostatków w szczegółach, mogą te dzieła przedstawiać się tak pięknie, że łatwo w nich rozpoznać palec tego mistrza, który „i na krzywych liniach spraw ludzkich, prosto pisać potrafi." I tak np. gdy zaczniemy z lupą w ręku przypatrywać się pewnym zwłaszcza chwilom dawnych prześladowań chrześcijaństwa, znajdziemy pełno odstępstw, pełno upadków, niekiedy nawet i zdradę, a jednak całość tych męczeńskich czasów jest czymś przepysznym, co nosi wyraźny charakter Bożego dzieła. Wyprawy krzyżowe utkane są z samych prawie win i błędów i nierozważnych kroków ,a jednak zawsze świecić będą blaskiem tego wspaniałego porywu chrześcijańskich społeczeństw, który wywarł piętno swoje na całych dziejach zachodniej Europy. To samo, i z większym jeszcze uzasadnieniem, da się powiedzieć o całokształcie dziejów Kościoła."

Na zakończenie powołując się na mesjańskie proroctwa, autor stwierdza, że „można oczekiwać, może i niezadługo, epoki wielkiego rozkwitu chrześcijaństwa ,ale z podwójnym zastrzeżeniem.

Najpierw nigdy nie będzie i nie może być zupełnego na tym świecie dla sprawy Bożej spokoju. Kąkol pozostanie w pszenicy „aż do żniwa" i zawsze potrzeba będzie wiernym sposobności do ćwiczenia się w wierze ufności, w gotowości do mężnej ofiary.

Po wtóre, nie można zapominać, że wedle wyraźnej zapowiedzi Chrystusa, przed końcem świata nadejdzie ostatnia, niesłychanie gwałtowna próba, która może porobić takie spustoszenia w Kościele ,że znajdzie zastosowanie to, pełne smutku pytanie Zbawiciela: „Gdy przyjdzie Syn człowieczy czy sądzicie, że znajdzie jeszcze wiarę na ziemi"?

Ale w ramach tych zastrzeżeń można mieć nadzieję, że zaświta nad ziemią okres wielkich triumfów prawdy Bożej."



## KRONIKA

**69 męczenników oksfordzkich.** Liga Chrystusa Króla w Oksfordzie ogłosiła ulotkę ze spisem 69 katolickich męczenników, wychowanków Uniwersytetu Oksfordzkiego i jego kolegiów. Ulotka kończy się zatwierdzoną modlitwą o kanonizację męczenników angielskich.

**Żyd zapisał majątek Stolicy Apostolskiej.** Żydowski fabrykant Izaak Levi, zmarły w wieku 86 lat, zapisał na rzecz Stolicy Apostolskiej prawie cały swój majątek, wartości kilku tysięcy milionów lir włoskich (funt angielski równa się dwom tysiącom lir). W czasie wojny zmarły ukrywał się przed Niemcami w murach Watykanu i przyjął tam katolicyzm. Jego bratankowie, pozostawieni ze skromnym legatem, usiłują obalić testament.

**Zniszczenia w Jerozolimie.** Jak donosi do prasy amerykańskiej jeden z dyrektorów NCWC, biskup Tomasz McMahon, przebywający obecnie w Jerozolimie, Bazylika Grobu św. i miejsca święte w Jerozolimie do tej pory zostały oszczędzone. Mimo ostrzeliwań z moździerzy, żaden pocisk nie wyrządził poważnych szkód. Zbombardowana jednak na całej długości została Via Dolorosa, a stacje Drogi Krzyżowej, Kaplica biczowania oraz klasztor Zbawiciela doznały poważnych uszkodzeń.

Szczególnie ucierpiały zakonnice Matki Boskiej Pocieszenia. Klasztor ich, jako obiekt wojskowy zajęli Żydzi, kaplicę wysadzono w powietrze. Kościół Notre Dame de France przedstawia obecnie jedną ruinę. Używany jest jako żydowski punkt oporu. Zniesiona z powierzchni została również szkoła Sióstr Salezjanek.

W terenie poważnym zniszczeniom uległy kaplice i zakłady chrześcijańskie, przyczym dokonano niezliczonych profanacji. Obrazy Chrystusa mają powykłuwane oczy, statuy poobrywane głowy i ręce.

### Złowrogi wynalazek Marconiego zabrany do grobu

Prasa amerykańska ogłasza sensacyjny artykuł o wynalazku **„promieni śmierci"**, dokonanym około roku 1930 przez Marconiego, wynalazcę radia. Wynalazek ten stanowił broń, bardziej złowrogą w skutkach niszczycielskich, od bomby atomowej. Broń ta miała się stać własnością rządu włoskiego. Po długiej jednak rozmowie z papieżem Piusem XI, Marconi odmówił przekazania tej broni Mussoliniemu.

Dopiero w roku 1937, w okresie, gdy Włochy znalazły się w bardzo niebezpiecznej sytuacji politycznej, Marconi, z pobudek patriotycznych, zaczął się skłaniać do oddania swego wynalazku armii włoskiej. Przeprowadził on doświadczenia ze swym wynalazkiem na włoskich manewrach broni pancernej w obecności Mussoliniego. Jedno użycie „promieni śmierci" zatrzymało czołgi, a ich załogi zginęły. Marconi na ten widok płakał. Dnia 18 lipca odbył nową rozmowę z papieżem, a 19 lipca oświadczył Mussoliniemu, w czasie gwałtownej wymiany zdań, że mu swego wynalazku nie da.

Nazajutrz znaleziono zwłoki Marconiego na dywanie w jego gabinecie. Wynalazek swój zabrał on z sobą do grobu.

**Spędzenie płodu nie jest już zalecane przez medycynę.** W jednym z wielkich szpitali nowojorskich, nie mających charakteru wyznaniowego, w ciągu ostatnich 18 miesięcy, na ogółem 5328 wypadków ciąży zastosowano tylko 3 razy jej przerwanie. Jest to jednym z dowodów na to, że pogląd o użyteczności lekarskiej przerywania ciąży, jest już dziś uznany za przestarzały także i przez medycynę laicką. Etyka katolicka, jak wiadomo, zabijania płodu przez przerwanie ciąży zabrania w sposób bezwzględny.

**Potestanci korzystają z tolerancji w Hiszpanii.** Wbrew rozpowszechnionym twierdzeniom, protestanci korzystają w Hiszpanii z zupełnej tolerancji i opieki państwowej. Jest w Hiszpanii 7000 protestantów-Hiszpanów (nie licząc cudzoziemców) i 165 protestanckich kościołów i kaplic. Religia protestancka w Hiszpanii korzysta z większej swobody, niż katolicka w Szwecji.

**Jubileusz Ojca Merklen.** Jeden z luminarzy katolickiej Francji, redaktor dziennika **„La Croix"**, **Ojciec Merklen** (ze Zgromadzenia Asumpcjonistów) obchodził w tych dniach uroczystość pięćdziesięciolecia kapłaństwa. W czasie obchodu, arcybiskup Paryża, kardynał Suhard, wygłosił przemówienie, a minister Schuman imieniem rządu francuskiego udekorował jubilata Krzyżem Legii Honorowej.

**Świątynia katolicka w Hiroszimie.** Projektowane jest zbudowanie w Hiroszimje świątyni katolickiej ku czci ofiar bomby atomowej, rzuconej na to miasto. Będzie to japoński pomnik narodowy, — jest rzeczą ciekawą, że pomnikowi temu nadają Japończycy cechę katolicką.

**Nieszczęliwe wypadki na Węgrzech** Kilka tygodni temu aresztowano na Węgrzech wybitnego węgierskiego Jezuitę, Ojca Jeno Kerkai wraz z dwoma, kolegami. Wkrótce potem „Bezpieka" węgierska ogłosiła komunikat, że O. Kerkai uległ dotkliwym obrażeniom w wypadku samochodowym, jeden z jego towarzyszy wyskoczył z pociągu, i połamał sobie żebbra, a drugi towarzysz uległ w nieznanych okolicznościach wypadkowi, w którym złamał sobie oba ramiona. Koła watykańskie stwierdzają, że to niezdarne objaśnienie usiłuje zatuszować fakt, że trzej księża doznali obrażeń wskutek tortur.

**Żałoba w Meksyku.** Tytułem protestu przeciwko skazaniu kardynała Mindszenty katolicy w Meksyku na dzień przybrali żałobę. Mężczyźni i kobiety ubrali się w czarne stroje, a domy przystrojono czarnymi chorągwiami i szarfami.

**Misjonarze kanadyjscy.** W chwili obecnej 2 800 kanadyjskich misjonarzy katolickich, — księży, zakonników i zakonnic, — pracuje w misjach poza granicami Kanady. W roku 1923 było ich tylko 285.

Kanada ma pozatem własne pole akcji misyjnej wewnątrz kraju: wśród plemion indiańskich i eskimoskich na dalekiej północy.

**Rozrost Kościoła w Australii.** W dominium australijskim spis ludności z roku 1947 wykazał 1.569.726 katolików, co stanowi 20,7% ogółu ludności tego olbrzymiego kraju. Kościół katolicki w Australii jest drugim z rzędu Kościołem, anglikanie bowiem stanowią tam 30% ludności, a inne kościoły są mniej liczne (metodyści 11,5%, prezbiterianie 9,8%, ludzie nie należący do żadnego wyznania 10%).

Odsetek katolików w Australii szybko wzrasta. W roku 1933 było ich tylko 1288 997, a więc w ciągu 14 lat wzrośli o 280 729, czyli o jedną piątą. Są oni przeważnie pochodzenia irlandzkiego. Ich wzrost liczebny jest do zawdzięczenia częściowo nawróceniom, w znacznie większym jednak stopniu dużemu przyrostowi naturalnemu.

**Madonna leningradzka.** Słynna Madonna Rafaela, zwana Madonną drezdeńską, zabrana została przez Rosjan z założonej przez Augusta Mocnego pinakoteki w Dreźnie i wystawiona jest w Leningradzie.

**Niemiecka diecezja warmińska.** Stolica Apostolska nie uznała w sposób ostateczny zmian terytorialnych, dokonanych w ostatniej wojnie. Tak np. arcybiskupstwa: Wileńskie i Lwowskie, oraz biskupstwa w Łucku i Pińsku ,traktowane są przez władze kościelne jako leżące w Polsce. Na polskich Ziemiach Odzyskanych na zachodzie zmiana przynależności politycznej coprawda znalazła w dokonanej faktycznej przebudowie organizacji kościelnej dość daleko idące odbicie, mimo to również i tam nowi polscy pasterze dziecezyj nie mają jeszcze tytułu pełnoprawnych biskupów, lecz są tylko Administratorami Apostolskimi, a dawni biskupi niemieccy, o ile jeszcze żyją, za-

# CZY MATKA BOSKA JEST KRÓLOWĄ POLSKI?

**NIEKTÓRE narody i państwa jak np. Francja, Węgry, Ekwador osobnym aktem podkreśliły swój bliższy stosunek do Matki Boga-Człowieka, oddając się jej w opiekę. Zupełnie szczególny jest stosunek Polski do N. Marii Panny.**

**W dobie „Potopu" a na pierwsze oznaki odrodzenia Król Jan Kazimierz „solennie do skończenia świata" w imieniu swoim jako władca, w imieniu wszystkich następnych rządów, w imieniu całego narodu zawarł z Nią dnia 1 kwietnia 1656 r. konfederację, stawiając Ją pokornie na czele Polski jako Monarchinię, z której ramienia ma odtąd być sprawowana władza w kraju. Ta nadprzyrodzona konfederacja, jak wszystkie legalne akty państwowe została prawnie zapisana w aktach grodzkich (lwowskich) jako konstytucja i najuroczyściej powtórzona w czerwcu tego samego roku 1656 przed bitwą o stolicę. Temu aktowi państwowemu i nadprzyrodzonemu towarzyszyły konkretne zobowiązania ówczesnych warstw kierowniczych, odpowiedzialnych za państwo, że zostanie w Polsce naprawiony niesprawiadliwy ustrój społeczny, pozbawiający praw znakomitą większość narodów Korony, chłopów. Albowiem wierzący ludzie ówcześni traktowali liczne nieszczęścia, które spadły na Polskę, jako sprawiedliwą karę Bożą za straszliwe krzywdy chłopów, uciskanych „jako ziarna pod młyńskim kamieniem pod pany swymi".**

**Wiemy z historii, że z tych t. zw. „Ślubów" Jana Kazimierza została tylko pewna dekoracja sentymentalna, ogromna ilość „pobożnych" ogólników, spoza których od dawna już przestała przezierać wszelka, tak przecież wstrząsająca i radosna treść. „Śluby" nie zostały dotrzymane nigdy. Stała się rzecz przedziwna: ogół Polaków uznaje za autentyczne wszystkie dokumenty, które postawiły „wielką Człowieczeństwa Boskiego Matkę i Pannę" na czele Polski jako Monarchinię, a zarazem już niemal 3 wieki po tym akcie elekcyjnym zachowuje się tak, jak by ta Osoba panująca w tej roli wogóle nie istniała! Następstwem bowiem tego aktu, siłą rzeczy, są pewne nowe prawa, z których się korzysta i pewne nowe obowiązki, którym się podlega, wiążące członków tej społeczności z Osobą panującą. Otóż nikt nigdy nie pomyślał, aby te nowe prawa i te nowe obowiązki określić, nikt nie zastanowił się, jak ma wyglądać Konstytucja nadprzyrodzonego Królestwa Marii, jakie są więc nadprzyrodzone cele Polski i jakie naturalne, a więc jakie jest jej powołanie wieczne i jaka t. zw. misja dziejowa. Żaden akt państwowy nie uwzględnił dotąd faktu nadprzyrodzonego królestwa Marii, co gorsze, ż a d e n Polak nie zaprotestował dotąd przeciw temu niepojętemu lekceważeniu najwyższej Osoby panującej w Polsce.**

**Fakt, że Maria Panna jest Królową Polski jest takim samym — jeśli nie bardziej wiążącym — faktem prawnopaństwowym, jak wszelkie akty państwowe wewnętrzne i międzynarodowe. — Z jednej strony ogół Polaków oraz różni pisarze, działacze polityczni, niektórzy mężowie stanu stwierdzali, że uznają ten fakt. Z drugiej zaś strony fakt ten nie zaważył dotychczas nigdy w praktycznej działalności Polaków. Wszystko ogranicza się do pustej frazeologii, banalnych obchodów i czysto uczuciowych nic nie znaczących porywów.**

**Od czasu do czasu urządzano w Polsce różne ślubowania, cenne jako zewnętrzny przejaw religijny. (jeśli tylko nie wykorzystywany politycznie), lecz nie dodające niczego istotnego do tego jedynego faktu, którego w imieniu Polaków wszystkich czasów dokonał Jan Kazimierz i ówczesny Episkopat Polski.**

**Obecnie przygotowuje się pielgrzymka akademicka do Matki Boskiej Walsingham, nawiązująca do ślubowania części polskiej młodzieży akademickiej z r. 1936. (Zapisy wciąż przyjmuje Akademicki Komitet Pielgrzymek Maryjnych, 21 Earls Court Sq., tel.: FLA 1509 i FLA 1581, pielgrzymka odbędzie się dnia 8 maja — szczegóły w afiszach, dalsze informacje pod wyżej podanym adresem). Oby ta pielgrzymka do której jak najbardziej wszystkich zachęcamy, podjęta w oktawie święta Królowej Polski i w dzień jej świętego Patrona, stała się początkiem szczegółowych rozważań, jakie są praktyczne obowiązki i prawa Polaków, wynikające z faktu obywatelstwa Nadprzyrodzonego Królestwa Marii!**

J. T.

JULIAN DOBROWOLSKI

(Na marginesie artykułu W. A. Zbyszewskiego „Katolicyzm niemiecki".)

# KATOLICY NIEMIECCY A SPRAWA POLSKA

W 1940 ROKU Polacy przeklinali Francję i zachwycali się Anglią. Po zakończeniu wojny przekleństwa polskie gęsto oblepiły Anglosasów... Nie wchodzę tutaj w ocenę przyczyn tych nagłych przemian; być może, iż jedna i druga postawa znajdzie wiele argumentów na swoją stronę. Chcę natomiast podkreślić powierzchowność naszych osądów i łatwość rozłąki z nimi, specjalnie w zagadnieniach, które wymagają od nas spojrzenia w głąb, nie opisu.

Do takich wniosków prowadzą „ataki" i „obrony" Anglików, dyskusje na temat sprzymierzeńców, czy — by wymienić tylko najważniejsze zagadnienia — sprawa niemiecka. Dlatego też nie można pominąć milczeniem artykułu A.W. Zbyszewskiego **„Katolicyzm niemiecki"** opublikowanego w ŻYCIU nr. 10/89.

Nie zamierzam polemizować z nieznaną mi rozprawą Roedele'go, choć i jemu można by postawić pytanie: **dlaczego 25 milionów katolików niemieckich nie zajęło takiego stanowiska wobec Hitlera, jakie dziś zajął Kościół katolicki wobec komunizmu za żelazną kurtyną?**

Na ten temat padło wiele wypowiedzi nieprzekonywujących i jednostronnych. W tej chwili interesują nas odważne, lecz za daleko posunięte wnioski Zbyszewskiego w sprawie naszych — jeśli można użyć takiego zwrotu — zobowiązań wobec katolików niemieckich. Zbyszewski -humanista dał się ponieść entuzjazmowi sprawiedliwości i moralności chrześcijańskiej. Nikt dzisiaj nie zachwala argumentów w rodzaju „dobrze im tak", czy „oko za oko", ale też nikt nie powinien wierzyć Niemcom na słowo. Cały naród niemiecki, a przede wszystkim jego część katolicka, musi najpierw okazać skruchę, wolę pokuty za okrucieństwa popełnione na narodach Europy w okresie wojny, wreszcie musi naprawić wyrządzone im krzywdy. W tym punkcie może się zacząć prawdziwa „reedukacja" Niemiec, do której jeszcze daleko. Jak dotąd katolicy niemieccy usprawiedliwiają się i bronią, niektórzy nawet występują z protestami do zwrotu Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich. Taka jest — w wielkim skrócie — dzisiejsza rzeczywistość niemiecka; a Zbyszewski mówi o „wynagrodzeniu krzywdy" katolikom niemieckim.

W jednym ze swoich świetnych „Listów z Hiszpanii" („Wiadomości" nr. 69) Zbyszewski napisał: **„I pierwszy raz jestem w katolickim kraju".** Hiszpania jest bezprzecznie katolicka, ale sprzeczał bym się długo na temat, czy. Zbyszewski był „pierwszy raz" w katolickim kraju. By nie rozszerzać dyskusji przypomnę tylko opinie Bernanosa o Hiszpanii („Les grands cimetières sous la lune"), Stendhala i i. Wydaje mi się, że Zbyszewski zbyt entuzjastycznie wypowiada niektóre osądy; i zdarza mu się czasem zapomnieć o spojrzeniu w głąb. Dotyczy to stwierdzenia o Hiszpanii, a przede wszystkim wniosków wyciągniętych z tragedii katolicyzmu w Niemczech.

Na pierwszym miejscu — jeśli chodzi o katolików niemieckich — stawia Zbyszewski zagadnienie „wynagrodzenia krzywdy". „Powinniśmy... duchownym katolickim niemieckim z Ziem Odzyskanych zwrócić cały ich dobytek, względnie jego ekwiwalent, a także wszelkie ruchomości kościelne, które musieli zostawić". Myślę, że nie należy szafować tak szczodrze tym oddawaniem i ekwiwalentem przed uregulowaniem pewnych spraw ogólnych.

To najpierw my powinniśmy zażądać sprawiedliwego i z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej słusznego zwrotu polskiego majątku narodowego, który Niemcy zrabowali w ciągu pięciu lat. Nie można rozgraniczać problemu odszkodowań na katolickie i niekatolickie. Kto dziś jest w stanie przeprowadzić statystykę, z czego nas ogołocili żonierze Hitlera katolicy i niekatolicy?

Zresztą taka statystyka jest nieaktualna z uwagi na hipotezę o zbiorowej odpowiedzialności narodu niemieckiego. Wszelkie więc „wynagrodzenie krzywdy" katolikom niemieckim z ziem Odzyskanych jest nie do przyjęcia jako projekt oderwany od ogólnego problemu odszkodowań. To Polska, a nie Niemcy, żądać musi odszkodowań i wynagrodzenia krzywdy. I nie wielka czeka nas pociecha, skoro droga tych odszkodowań prowadzi z Berlina do Warszawy przez... Moskwę. Przypomnieć należy, że katolicy niemieccy nie wiedzieli o istnieniu katolicyzmu polskiego w okresie tyranii hitlerowskiej. Opowiadano mi, że władze kościelne w Hiszpanii przygotowały do zwrotu duchowieństwu polskiemu pokaźną ilość przedmiotów użytku religijnego (ornanty, złote kielichy i tp.), które były rzekomo „darem" katolików niemieckich. Przypuszczam, że „darów" tych nie wręczał Hiszpanom Himler... Jeśli cytuję te wypadki, to nie dlatego, by zwalczać chrześcijańską ideę Zbyszewskiego, lecz by wykazać, jak się zacierają granice winy, a tym samym granice sprawiedliwości, która tę winę ma osądzić.

Nadmieniłem już, że pewne koła katolickie w Niemczech nie pogodziły się z utratą prowincyj wchodnich na rzecz Polski. Jestem przekonany. że opinię tę podziela także Roedele. Jak dotąd, to tylko komuniści niemieccy — i na wiadomy rozkaz — wyrazili pełną hipokryzji zgodę na nowe granice. W tym miejscu dotknę problemu, który — tak przez prasę krajową jak i emigracyjną — jest traktowany jednostronnie. Problemem tym jest kwestia naszych zachodnich granic. Z uwagi na ewentualne nieporozumienie i zarzuty, które mnie mogą spotkać, określam me stanowisko: Polska ma pełne prawo historyczne i polityczne do granicy na Odrze i Nyssie. Nie będę wymieniał praw wynikających z naszego wkładu w wojnę i w odbudowę tych terenów. Takie stanowisko przyjął dziś naród polski. Niestety — miejmy odwagę zajrzeć prawdzie w oczy — stanowiska tego nie podziela naród niemiecki i... nasi sprzymierzeńcy.

Na przestrzeni dziejów nie jeden raz byliśmy objektem przetargów granicznych. Traktat wersalski, układ Ribbentrop-Mołotow, wreszcie „gwarancje" angielskie z 1939 roku — by wymienić fakty najnowszej historii. Kto nam zaręczył nienaruszalność nawej granicy zachodniej? O jednej „gwarancji" nawet nie warto wspominać. W nowym konflikcie zbrojnym Ziemiami Odzyskanymi będą kupować Niemców Sowiety i koalicja anglo-saska. Historia wypłacała i będzie wypłacać z cudzej kieszeni. Dlatego nie możemy ograniczać się tylko do stwierdzenia, że posiadamy historyczne prawo do ziem. Polska musi o tym przekonać cały świat. A obowiązkiem emigracji jak walka potrójna: o wyzwolenie Polski, o jej Ziemie Wschodnie i Zachodnie. I niech żaden z tych celów nie przesłania drugiego. Ważniejszą więc sprawą jest utrzymanie Ziem Odzyskanych przy Polsce, jak czwartorzędny i wątpliwy problem odszkodowań dla katolików niemieckich.

„Powtóre — pisze Zbyszewski — powinniśmy wszystkim księżom, którzy chcą wrócić, a nie zaznaczyli się jako germanizatorzy, powrót ten ułatwić". W dalszej konsekwencji proponuje powrót na Ziemie Odzyskane wszystkim katolikom niemieckim, którzy nie popełnili zbrodni wojennych i nie działali na szkodę narodu polskiego. Znowu trzeba wyrazić protest przeciw takim sugestiom. Przypominanie roli jaką odegrały skupiska niemieckie w Czechosłowacji i w Polsce z chwilą wybuchu wojny, było by wywalaniem drzwi otwartych. Dalej: masa niemiecka nie asymiluje się nigdy; asymilują się jednostki i to przez małżeństwa mieszane. Dlatego nie wierzę w asymilację Niemców na większą skalę. Pod tym względem — by sięgnąć do literatury — przemawia mi bardziej do przekonania stanowisko Mickiewicza i Sienkiewicza („Grażyna" „Krzyżacy"). Mościcki mianował „socjalistów" niemieckich w Polsce senatorami; ci „socjaliści" byli na żołdzie Hitlera.

Projekt Zbyszewskiego jest jeszcze nieaktualny z innych względów.

**Primo:** dlaczego powrót na Ziemie Odzyskane ma objąć tylko katolików? Jeśli przyjmujemy podstawę humanitarną i chrześcijańską, to takie same prawo do powrotu mają Niemcy protestanci (zawsze pod warunkiem, że nie działali w sensie antypolskim). Nie widzę powodów tego rozgraniczenia. Przecież protestancki pastor Niemoeller był bardziej antyhitlerowski jak wszyscy biskupi niemieccy razem.*)

**Secundo:** co np. będzie robił ksiądz Niemiec w parafii polskiej?

**Tertio:** jak przeprowadzić selekcję winnych i niewinnych działalności antypolskiej?

Wyszczególnianie pewnych grup społeczeństwa niemieckiego od odpowiedzialności za zbrodnie, popełnione w latach 1939-1945 jest nie do przeprowadzenia. Zresztą sami Niemcy bronią się doskonale (publicystyczna działalność Jaspersa, Scholtza, Kogona i in.) Stanowisko katolików polskich wyraził najpełniej ks. Piwowarczyk w dokumentarnym niemal artykule „Zbiorowa odpowiedzialność narodu niemieckiego" — „Tygodnik Powszechny" nr. 26/171 — do którego odsyłam tych wszystkich, którzy znajdują w narodzie niemieckim pewne grupy zasługujące na pobłażanie. „Naród jest jednością moralną — pisze ks. Piwowarczyk — jest grupą solidarystyczną. A natura tej jedności m.in. na tym polega, że jednostka odpowiada za całość w tym stopniu, w jakim z nią się solidaryzuje — a więc odpowiada nie tylko za to, co sama zrobiła, ale i za to, co w jej imieniu, za jej zgodą, zrobiła całość".

Po takim stwierdzeniu mocno opartym na moralności chrześcijańskiej i na sprawiedliwości, trudno brać w obronę nawet katolików niemieckich.

**Julian Dobrowolski**

*) **Jest to przesada „na dwie strony" od razu: bo ani Niemoeller nie był tak bardzo antyhitlerowski, ani Biskupi „razem wzięci" — tak bardzo „prohitlerowscy", jak to sugeruje p. Dobrowolski. (RED.)**

---

chowali swe dawne tytuły i teoretyczne uprawnienia.

Uprawnienia te przytem o tyle nie są teoretyczne, że rozciągają się w sposób nieograniczony na te terytoria, które do Polski włączone zostały. Tak np. jedyny pozostały przy życiu członek niemieckiej kapituły katedralnej warmińskiej mianował księdza Artura Kathera wikariuszem kapitulnym na tę część diecezji warmińskiej ,która znalazła się w granicach Rosji Sowieckiej ,obejmuje diasporę katolicką w Królewcu i wcałej sowieckiej części Prus Wschodnich. Ks. Kather został świeżo mianowany prałatem domowym Jego Świątobliwości.

Mimo wszystkiego, co naród polski od Niemców dzieli i mimo stanowczości z jaką uważamy powrót do Polski odwiecznie polskiej diecezji warmińskiej — owczarni Hozjusza i Ignacego Krasickiego, — za fakt ostateczny, — rzecz prosta sercem łączymy się z katolikami niemieckimi przeważnie z resztą Warmiakami, a często nawet Polakami z pochodzenia, którzy znaleźli się w Prusach Wschodnich pod panowaniem sowieckim, lub zostali wywiezieni wgłąb Rosji i cierpią tam prześladowanie za wiarę.

**Misjonarze — męczennicy.** Śmierć męczeńska za wiarę zbiera od 1939 roku obfite żniwo wśród księży polskich, a także litewskich, węgierskich, czeskich, słowackich, chorwackich, rusko-unickich i innych. Nie zawsze jednak wiemy o tym, że jest jeszcze i drugi prócz Europy Środkowej i Wschodniej teren, na którym obficie leje się krew katolickich męczenników za wiarę. Terenem tym jest Daleki Wschód.

Tytułem przykładu, podajemy za paryską „La Croix" listę 31 nazwisk francuskich księży ze zgromadzenia Ojców i Misyj Zagranicznych, poległych w latach 1940-1948 na Dalekim Wschodzie.

Ksiądz Nusbaum, zamordowany w Tybecie (1940), ks. Sonnefrand, rozstrzelany w Chinach (1940), ks. Castiau, rozstrzelany w Chinach (1940), ks. Bousquet, zatorturowany na śmierć w Japonii (1943) ks. Boiteux, zamordowany w Chinach (1944), ks. Bousquet, zmarł w więzieniu w Chinach (1945), ks. Laubic, rozstrzelany w Indochinach (1945), biskup ks. Gouin, rozstrzelany w Indochinach (1945), biskup ks. Thomine, rozstrzelany w Indochinach (1945), ks. Thibaud, rostrzelany w Indochinach (1945), ks. Seznec, rozstrzelany w Chinach (1945), ks. Francheteau, zatorturowany w Indochinach (1945), ks. Fage, spalony w Japonii (1945), ks. Baron rozstrzelany w Indochinach (1945), ks. David, rozstrzelany w Indochinach (1945), ks. Tricoire, przebity włóczniami w Indochinach (1945), ks. Fournier, uduszony w Indochinach (1945), ks. Clavreul, zatorturowany w Indochinach (1945), ks. Dalle, zamordowany w Indochinach (1945), ks. Fraix, zabity w Indochinach (1945), ks. Keller, zamordowany w Indochinach (1946), ks. Canilhac, zamordowany w Indochinach (1946), ks. Boudillet, zatorturowany w Indochinach (1946), ks. Roland, zabity w Mandżurii (1947), ks. Idiart-Alhor, ścięty w Indochinach (1948), ks. Caudrière, zabity w Mandżurii (1948), ks. Marechal ,zabity w Birmie (1949), ks. Chauvel, poległ na wojnie w Indochinach (1946), ks. Gabillard, zabity w Indochinach (1946), ks. Bec, poległ na wojnie w Indochinach (1946), ks. Laurent, poległ na wojnie w Indochinach (1947).

DYSKUSJE

# ZACHÓD — TO RZYM

MOGĘ zrozumieć stanowiska p. Dłuskiego w jego dwóch artykułach o kulcie Zachodu w naszym społeczeństwie. Wydaje mi się, że dostrzegam jego zasadniczą myśl w przestrzeżeniu przed niebezpieczeństwem grożącym Polakom na Zachodzie ze strony penetrujących myśl polską ideologii antykatolickich. Ktoś zaczyna robotę świadomie, wielu pisarzy nieświadomie ją dalej prowadzi. Jest to dążenie do zastąpienia w myśleniu polskim pojęcia „katolickość“ przez pojęcie „zachód“, religii przez cywilizację materialną, dskonalenia wewnętrznego przez postęp techniczny. Jest to chęć podstawienia w miejsce chrześcijaństwa — Zachodu, jako czegoś dobrego samego w sobie, nie zaś jako wykładnika chrześcijaństwa.

Niebezpieczeństwo to istnieje, zwrócenie na nie uwagi jest rzeczą słuszną. Obawiam się jednakże, że istota sprawy nie została postawiona dość jasno dla czytelnika. Może to wywołać pewne nieporozumienia. Kiedy katolik polski a nawet przeciętny Polak mówi o Zachodzie, to ma na myśli przede wszystkim zachodnie chrześcijaństwo. Kiedy mówi, że Polska jest zachodnia, myśli przede wszystkim, że jest rzymsko-katolicka. Kiedy mówi o wschodzie jako o czymś obcym, nie ma na myśli Jerozolimy ani Antiochii ale Moskwę schyzmatycką czy ateistyczną, a co najwyżej pohański Krym. Nigdy za symbol zachodu nie uchodził w świadomości polskiej Berlin czy Malborg. Zrozumienie przez czytelnika, że p. Dłuski myśli o innym zachodzie i o innym wschodzie, wymaga pewnego wysiłku. Kto tego wysiłku dokona i artykuły p. Dłuskiego rzeczyta starannie, zgodzi się zapewne z jego zasadniczymi tezami, niezależnie od zastrzeżeń co do spraw szczegółowych.

Zupełnie co innego z artykułem p. Tokarskiego „Kościół Ziemskich Nadziei“. Nie mogę zrozumieć jego stanowiska.

Wychodzi on z założenia, że „nasza świadomość odrębności i zupełnie swoistych wartości własnego stylu życia i własnych rozwiązań stosunku człowieka do Boga, do drugiego człowieka, do innych narodów, do władzy do państwa — kształtowała się wiekami nie przy współpracy z Zachodem, nie przez naśladownictwo i wymianę, ale w walce z nim“. Trudno się pogodzić z podobną tezą, postawioną chyba dla oryginalności. Świadomość, o której mówi autor kształtowała się pod przygniatającym i niemal wyłącznym wpływem z zachodu. Chrześcijaństwo przyjęła Polska z Rzymu za pośrednictwem Pragi; przebudowy życia kulturalnego i gospodarczego dokonały zakony pochodzące z Flandrii, Burgundii, Francji, Włoch, zachodnich Niemiec; pisaliśmy po łacinie, wszyscy wykształceni ludzie późnego średniowiecza, renesansu i baroku przeszli przez uczelnie włoskie lub francuskie, rzadziej niemieckie; wszystkie style artystyczne i prądy umysłowe powiązane były z zachodem, w nim najczęściej miały swe źródło; przez długie wieki żyliśmy tymi samymi zasadniczymi elementami życia duchowego co Rzym i Padwa, Paryż i Salamanca, Praga i Norymberga; zupełnie odrębnym, obcym nam korytem płynęło życie Moskwy, Konstantynopola, góry Athos; największe dzieło literatury polskiej powstały w zeszłem stuleciu w Paryżu; nasz język pojęć kształtował się na łacinie a później francuskim; nasze teorie państwowe z epoki Odrodzenia były rozwinięciem teorii zachodnio-europejskich. Walczyliśmy nie z zachodem a z Niemcami wschodnimi, które, nie bez słuszności zaliczał zmarły świeżo wybitny filozof Feliks Koneczny do cywilizacji bizantyńskiej, a co potwierdza wielki pisarz katolicki, Niemiec F. W. Förster.

I jeżeli Polska odegrała tak wybitną rolę na wschodzie Europy, to dlatego, że niosła tam głęboko przetrawione pierwiastki cywilizacji łacińskiej. Szliśmy na Litwę z rzymskim katolicyzmem, promieniowaliśmy nawet na Moskwę zasadą wolności obywatelskiej w takiej postaci, jak wyrosła na gruncie nieznanego Rosji europejskiego feodalizmu. Nie piszę tego, by powiedzieć, że powinniśmy być dumni z naszej zachodniości i nic poza nią nie widzieć, piszę, bo tak było.

Drugą tezą p. Tokarskiego jest wyższość wschodu (a przez wschód bynajmniej nie rozumie on tylko wschodu chrześcijańskiego, lecz wschód geograficzny, nawet mongolski i sowiecki) pod względem tolerancji religijnej i narodowej. „Wschodowi pisze on — jest w zasadzie obca jedna z największych zbrodni zachodu — wynaradawianie, sprzeciwiająca się tak bardzo Bogu samemu, który stworzył „mnóstwo narodów“. Tu nawet Rosja Sowiecka stoi moralnie wyżej niż Niemcy i Francja czy też Anglia końca zeszłego stulecia. Do dziś jest wschód domeną wolności w tej dziedzinie ze swoją migotliwą mozajką ludów, plemion, języków i alfabetów, ze swymi odrębnościami narodowościowymi i kulturowymi, które od wieków topi zachód we krwi i smaga biczem krzywd w imię żarłocznego bożka, którego tak chętnie podrzuca wschodowi: silnego jednolitego państwa („narodowego“), i silnej władzy“.

Cytuje obszernie, bo czytelnicy nie pamiętający dokładnie tego artykułu mogliby inaczej sądzić, że skracając wyostrzam czy przesadzam. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że autor za zachód uważa przede wszystkim Prusy i że one mu przesłaniają cały świat. Mój Boże, Sowiety wyżej moralnie od Francji pod względem wynaradawiania! Gdzież ten bicz i krew? Ojciec Foucauld wśród Arabów, Mistral w Prowansji, po niemiecku mówiąca Alzacja? Prześladowanie Irlandczyków można ostatecznie porównać z prześladowaniami Polaków w Kongresówce ale już nie z wygłodzeniem milionów Ukraińców w latach trzydziestych, nie z masowymi deportacjami na pustynię, nie z rzeziami. Wschód ma swój sposób załatwiania spraw narodowościowych, którego poza Rosją przykładem jest w naszych czasach wyrżnięcieOrmian przez Turków, a pierwowzorem wyrżnięcie Kwarezmu przez pochwalonego za tolerancję w tym że artykule Dżyngischana.

Niemcy odbierali ludziom język. Bolszewicy nie odbierają języka robią coś straszniejszego: każą ludziom w ich języku myśleć po moskiewsku. Czy to jest „moralnie wyższe“? Nie wydaje mi się.

Na wschodzie istotnie, poza Rosją, mało jest tendencji do wynaradawiania. Ale nie tolerancja jest tego przyczyną, lecz to, że na wschodzie nie wytworzyły się narody w naszym tego słowa rozumieniu. Są tam cywilizacje, religie, plemiona, kasty, państwa, imperia, nie narody. Naród europejski powstał pod wpływem tego, że państwo nie było jedyną formą społeczną, że poza lokalnym oporem rodu, przeciwstawiał mu się, uzupełniał je i wychowywał społeczeństwo Kościół Powszechny. Bardzo ładnie wywodzi to na przykładzie polskim Rembieliński w swej Historii. Tam, gdzie nie powstał naród jako byt odrębny od państwa i trwalszy odeń, trudno mówić o asymilacji narodowej i wynaradawianiu. Zato jest ucisk plemienny i kastowy, jakiego nie zna Europa.

Nie mam tu miejsca na polemikę z całym, moim zdaniem bardzo powierzchownym, wywodem autora na temat **odradzania się czy powstawania nowych narodów w Europie. Zda**je się, że pisał to bardzo pospiesznie, skoro za przykład rzekomych nie-Francuzów podaje Normandczyków. (Chyba chodziło o Bretończyków?).

Nie mogę jednak pominąć ostatniej z tez głównych p. Tokarskiego. Twierdzi on, że bolszewizm jest produktem i przejawem zachodu. „Prawdziwy zachód nie jest w Paryżu, może już nawet nie w Nowym Jorku. Swoje rzeczywiste oblicze ukazuje w Moskwie — oblicze człowieka chcącego samemu rozwiązać zagadkę swego losu i miażdżonego przez konieczność, nad którą wydaje mu się, że panuje“. W takim sformułowaniu teza ta jest efektowna ale niesłuszna.

Tęsknota do raju ziemskiego, wiara w utopię, w millenium, w Królestwo Boże na ziemi, jest pochodzenia wschodniego; ateizm naukowy, materialistyczny jest chorobą powstałą na zachodzie; zastosowanie jego, styl metoda, atmosfera, wzory organizacyjne bolszewizmu są na wskróś eurazjatyckie, moskiewskie. Pisano na ten temat tomy i pisano przekonywująco. Kto to widział, nie ma zresztą wątpliwości.

Dopiero w ostatnim ustępie zaczynam, jak mi się zdaje, domyślać się motywów autora, motywów uzasadnionych w moim pojęciu. Pisze on o świecie sowieckim: „Istotne jest przejęcie się bezspornym faktem, że to — nasz błąd“. Istotnie byłoby bardzo źle, a to nam może grozić, gdyby problem imperializmu moskiewskiego miał nam przesłonić problem komunizmu. Problem komunizmu jest głębszy i szerszy. Nie przestanie istnieć nawet w wypadku rozbicia Sowietów. Komunizm tkwi korzeniami w zachodnim materializmie, sceptycyźmie, oportuniźmie, lęgnie się na gruncie zdechrystianizowanego społeczeństwa. Materializm indywidualistyczny jest nie naszym tylko ich sprzymierzeńcem, ich szóstą i dziesiątą kolumną, ich starszym słabym bratem. I bez względu na przebieg walk między mocarstwami, walka parwdziwa decydująca o losach cywilizacji rozegra się między bezbożnym komunizmem a katolicyzmem.

Największym niebezpieczeństwem nie jest siła wywołana przez rozkład atomu ale siła wywołana przez rozkład wiary.

**Wojciech Wasiutyński**

# WYSTAWA OPRAWY KSIĄŻKI

WYSTAWA historii oprawy książki zorganizowana przez **Victoria and Albert Museum** zasługuje na uwagę i zwiedzenie. Przyczyna tego leży nie tylko w bogactwie i jakościowym doborze eksponatów z trzech dziedzin: oprawy książki w Europie, oprawy książki w krajach o kulturze muzułmańskiej i zastosowania herbu w dziedzinie zdobnictwa oprawy — ale i w sposobie ugrupowania eksponatów na zasadzie chronologii. Jest to jej walor pedagogiczny. Przechodząc obok gablotek na dobranych przykładach czytamy historię oprawy książki sięgającą wstecz aż do starożytności. Najstarsze oprawy — to głównie deski obciągnięte skórą, na której wycinano nożem lub tłoczono ozdoby. Złocenie ozdób jest dopiero zdobyczą czasów nowożytnych. Wynalezienie sztuki drukarskiej udoskonaliło sztukę introligatorską.

Jakkolwiek ojcami sztuki introligatorskiej w Europie byli Włosi, to już w w. XVI Francuzi stali się mistrzami ,których nie prześcignął żaden naród europejski.

Poszczególne narody wytworzyły odrębne typy ozdobnictwa introligatorskiego. Anglicy wytworzyli w w. XVII typ oprawy w płótno haftowane. Typ ten poza Holandią nie był znany na Kontynencie. Nie utrzymał się nawet w Anglii, gdzie już w w. XVIII ustąpił miejsca skórze, używanej powszechnie w sztuce introligatorskiej już od w. XV. Oprawy niemieckie wyróżniają się nie tylko mniejszą finezją w kompozycji ozdób, ale także pomysłem ciężkich klamer celem zamykania książki czy wreszcie zastosowania metalowych siatkowych okładek, ochraniających skórę.

Oprawa książki jak każda dziedzina ludzkiej twórczości miała okres młodzieńczego szukania dróg, wzlotu i upadku. Francuska sztuka introligatorska poza okresem obniżenia poziomu w w. XIX po pierwszej wojnie światowej wróciła na naczelne miejsce w Europie. Nie udało się tego dokonać introligatorom angielskim, choć niewątpliwie przezwyciężono brzydotę czasów Wiktoriańskich w tej dziedzinie.

Bardzo interesująca jest oprawa książki w krajach o kulturze muzułmańskiej. Odrębnością pomysłów, finezją artyzmu wyróżnia się tutaj oprawa perska, o wzorach znanych nam z perskiego rytownicta.

Kiedy patrzymy na znakomicie zachowane oprawy książek, choć wiele z nich liczy sobie już ponad cztery wieki — to oprócz doznania estetycznego budzi się w nas i uczucie uznania dla żmudnego i wytrwałego trudu tych introligatorów, którzy sumiennością pracy przezwyciężyli niedomagania prymitywnych wtedy narzędzi. Nowsze oprawy mimo olbrzymiego postępu techniki introligatorskiej niekiedy bardzo szybko niszczeją, co podkreślił **H. J. PLENDERLEITH** w swej: „The preservation of leather Bookbindings“.

(jw)

# Z LISTÓW DO REDAKCJI

## Odruch warunkowy

Szanowny Panie Redaktorze!

W Nr. 9/88 „Życia“ p. G. Kaczanowski zamieścił artykuł p. t.: **„Czy sztucznie wywołano zaburzenia psychiczne u Kardynała Mindszenty?“** W swym bardzo interesującym i pobudzającym do myślenia artykule autor m. in. wyjaśnia co to jest odruch warunkowy.

Wyjaśnienie p. G. Kaczanowskiego na ten temat w świetle wypowiedzi źródeł naukowych, jak również na tle wykładów samego prof. Iwana Pawłowa jest trochę nieścisłe.

P. dr G. Kaczanowski pisze: „Otóż podstawowym eksperymentem Pawłowa było wywoływanie u psa wydzielania się soku żołądkowego za pomocą dzwonka. Robiono to w ten sposób, że podając psu jedzenie — co normalnie wywołuje odruchowe wydzielanie się soku trawiennego — równocześnie uderzano w jakiś dzwon, po pewnej ilości tych doświadczeń pies zaczynał reagować wydzielaniem soku żołądkowego na sam dźwięk tego dzwonu, nie widząc nawet pokarmu, czyli wytworzył się odruch warunkowy“.

„Otóż“ nie. Podstawowym eksperymentem I. P. Pawłowa, na którym ustalił on odruch warunkowy, było wydzielanie się u psa śliny, a nie soku żołądkowego, na dźwięk manometru, gwizdka, czy światła:

Oto wypowiedzi z kilku źródeł na temat odruchu warunkowego:

1) Hutchinson — Encyklopedia:

**Odruch warunkowy:** — Użycie tego terminu powstało z wynalazku Pawłowa, który ustalił, że pies wydziela ślinę nie tylko na widok jedzenia, ale także w odpowiedzi na jakiś specjalny bodziec, jak n.p. dzwonek. Ta odpowiedź na skojarzony bodziec jest nazywana odruchem warunkowym.

2) P. L. Harriman — The New Dictionary of Psychology. (Philosophical Library, New York, 1947):

**Odruch warunkowy:** — Tłumaczenie Anrepa (1927) odkrycia Pawłowa (1890) że odruch będzie wywołany przez bodziec, który często poprzedza bodziec właściwy. Najlepiej znanym przykładem jest pies, który wydziela ślinę na dźwięk dzwonka, który przez dłuższy okres czasu rozlegał się tuż przed podaniem pokarmu.

3) Robert S. Woodworth — Psychology. (Methuen & Co. Ltd. London, 1948):

**Odruch warunkowy:** — ustalenie odruchu warunkowego ... głodny pies — dobrze traktowane zwierzę — oswojony z warunkami laboratorium stał na stole. Gdy pies był zupełnie spokojny, zaczynał dzwonić elektryczny dzwonek. a po 15 lub 30 sek. dzwonienia wkładano w pysk zwierzęcia pokarm. Następowała przerwa kilku minut, a następnie ta sama kombinacja bodźców była powtarzana. Po wielokrotnym powtorzeniu w tej samej kolejności bodźców: dzwonek ......żywność, ślina zaczynała płynąć na odgłos dzwonka i zanim żywność była podana. (str. 303 i 304).

Na wiosnę 1924 r. I. P. Pawłow wygłosił na temat odruchów szereg wykładów w Petersburskiej Akademji Lekarskiej. Wykłady te były stenografowane, a następnie ogłoszono je drukiem w formie książki.

Ustalenie odruchu warunkowego I. P. Pawłow przedstawia następująco:

przez określony okres czasu tuż przed podaniem psu pokarmu następowało bicie manometru. Stwierdzono, że jak długo nie było specjalnego bodźca, gruczoły ślinowe pozostawały zupełnie nieczynne. Lecz gdy dźwięk bijącego manometru docierał do uszu psa, wydzielanie się śliny rozpoczynało po 9 sek., a po 45 sek. wydzieliło się jej jedenaście kropli. Dźwięk manometru jest znakiem żywności, a zwierzę reaguje na ten znak w taki sam sposób, jak gdyby to była żywność. Nie stwierdzono różnicy w reakcji psa na dźwięk manometru i na pokazanie mu żywności.

— Ja nazwałem — mówi I. P. Pawłow — tę nową grupę odruchów, odruchami warunkowymi, aby je odróżnić od odruchów wrodzonych.

Patrz **I. P. Pawłow:** Conditioned Reflexes. Tłomaczenie Anrepa, wydanie 1946 Oxford University Press. Wykład 1-szy i 2-gi).

Wdzięczny będę Redakcji za umieszczenie tych wyjaśnień na łamach kochanego „Życia.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku,

**P. Malkiewicz**

Broomhills Hostel,
Honiton, Devon.

**ŻYCIE, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY**

Wydawca:
**VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE**

**Redaguje Komitet pod przewodnictwem ks. T. Kirschke.**

Adres redakcji i administracji:
**POLISH WEEKLY „ŻYCIE“ — 12, Praed Mews, London, W.2**
**Telefony: Redakcja — AMB 6879. Administracja — PAD 9734.**

**Redaktor przyjmuje:** po uprzednim telefonicznym porozumieniu.

**Administracja czynna:** codziennie od godz. 9 do 13 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

**Prenumerata:** płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/- **Wszelkie wpłaty:** przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed“ i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings-Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press“
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.